

18
1956

9

Rammena

T R E Ś Ć

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI: Nauka	1
JÓZEF CZECHOWICZ: Felieton o koniu	1
STEFAN WOLSKI: Po klęsce	2
ZYGMUNT MAŃKOWSKI: Gorące tropy	3
WŁODZIMIERZ CHEŁMICKI: Nauczycielom — na pomoc	5
WANDA PAPIEWSKA: „Światło” dziełem radykalnej inteligencji	7
IRENA PARANDOWSKA: Chciałabym odnaleźć dzień...	10
Z POEZJI UKRAIŃSKIEJ — <i>Iwan Franko</i> : Hymn; <i>Łesia Ukrainka</i> : Wiem dobrze...; <i>Maksym Rylski</i> : „Jabłka już dojrzały...” <i>Paweł Tyczyna</i> : Ptaszęta jeszcze...; — przeł. <i>Kazimierz Andrzej Jaworski</i>	11
ŁESIA UKRAINKA: Na puszczy — przeł. <i>Maria Bechczyc-Rudnicka</i>	13
ANATOL STERN: Życie proste	16
SŁAWOMIR SOBOCKI: Pocałunek	17
EDWARD KOZIKOWSKI: Ze wspomnień o Emilu Zegadłowiczu	19
J. W. GOETHE: Z cyklu „Chińsko-niemieckie pory roku i dnia” — przeł. <i>Stefan</i> <i>Zarębski</i>	22
PROFILE LUBELSKICH TWÓRCÓW: Kronikarz ze Szczebrzeszyna — Dr <i>Zygmunt</i> <i>Klukowski</i> — Z. M.	23
BOLESŁAW WOJEWÓDZKI: Zopaska; Wstónzki; Pióra	25
GŁOSY Z TERENU — (s)	26
ELŻBIETA DRZEWIŃSKA: Zabytki Lubelszczyzny niszczeją	27
KRONIKA KULTURALNA LUBLINA I LUBELSZCZYZNY — <i>H. S.</i> ; <i>Kazimierz Mier-</i> <i>nowski</i>	29
O CZYM PISAŁA „KAMENA” PRZED 20 LATY	31

WSRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM:

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI: Gorzka młodość	31
JANUSZ DANIELAK: Bunt Marka Hłaski	32
PRZEGLĄD WYDAWNICTW — <i>jnk</i>	33
SEWERYN ŚMIAŁOWSKI: Wycinki z prasy kulturalnej	35
ANTONI WALIGÓRA: Co daje lubelskiej kulturze „Kultura i Życie”	36

WOLNA TRYBUNA:

ZBIGNIEW STEPEK: Przeciw fałszowaniu w ogóle	38
--	----

ODPOWIEDZI REDAKCJI:

(str. 39)

NAGRODA „KAMENY“:

(str. 40)

KAMENIA

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ROK XXIII

LUBLIN, 1956

Nr 9 (115)

Stanisław Ryszard Dobrowolski

N A U K A

Którzyście dwakroć byli potężnie polegli:
raz — u skrwawionych murów, drugi — za murami
gluchych, glinianych serc jak puste cegły
i spaliście pod darnią niby zapomniani,
o moi towarzysze broni mniej szczęśliwi,
w sercu swego narodu zostaliście żywi!

I dlatego, gdy drgnęło serce ziemi, wyście
wstali z cmentarnych dołów jak i pierwiej młodzi
i odgarniając rdzawe, już gnijące liście
wstąpili w łódź, co w przyszłość historii odchodzi.

Bo słuchajmy i zważmy to nieraz:
kto żyje w sercu ludu, ten już nie umiera.

Stanisław Ryszard Dobrowolski

Józef Czechowicz

FELIETON O KONIU

W białym blasku lamp cyrkowych krążą lśniące srebrną sierścią konie. Wszystko jedno, ile ich jest. Wszystko jedno, czy chodzą czwórkami, czy kłusują wokół areny. Ich krok, gromka muzyka, klaskanie bicia, gardłowy okrzyk trenera i ten blask, ta biała łuna reflektorów dają razem zespół zjawisk znanych dobrze od wczesnego dzieciństwa, zespół oszałamiający i mający w sobie coś ze snu.

We śnie także widuję konie i to dość często. Niekiedy wchodzą w wodę (a rozlewiska wód, szerokie rzeki wśród leśnych brzegów, zalewy płytkie jak po powodzi są najczęstszą scenerią moich marzeń nocnych), niekiedy ukazują mi się anioły z końskimi łbami zamiast głów, kiedy indziej znów

przestrzenie wypełnione falującymi tysiącami galopujących tabunów. Wówczas sen bywa męczący. Przy głuchym odgłosie kopyt, czy może jakiegoś wodospadu, godzinami całymi pędzą rumaki z ciemności w ciemność. Ma to w sobie posmak fantasmagorii a zarazem wspomnienia.

We wspomnieniach dzieciństwa konie i słońce zawsze są razem. W ostrym blasku lata pławią się, gdy bryzga fala, polatują nad obrazem łąki krzyki chłopców i żołnierzy. Dzieje się nad Bystrycą, nad Wisłą, nad jeziorami.

Wspomnienia młodzieńcze inne nasuwają zjawienia: oto w ciężkim pędzie, od którego ziemia drży, przelatują baterie dział, oto przy czerwieni za-

chodu samotny koń na wzgórzu, z krwawą pręgą na szyi, oto żałośnie rżące zwierzęta uplątane w kołczasty drucie, oto smutne koniki białoruskie z wielką cierpliwością ciągnące nasze podwoły wśród piachów.

Konie, konie!

Lat temu kilka siedziałem nad metalicznym nurtem Sekwany, w którym odwrócony wizerunek katedry paryskiej migotał, a że obłoki w tym odbiciu szły pod wieżycami, zdawało się, że kościół leci w nie jakoś dziwnie, nie wiedzieć w górę czy w dół.

Po nadbrzeżu włókił się kasztanek, zaprzężony do dużej platformy pełnej pak. Pochylał głowę przy każdym kroku, ścięgnię grały, nozdrza dyszały, w oczach widziałem nie tylko zmęczenie, ale i dobroć.

Wówczas w ciemnym biegu rzeki zaczęły przesuwac się przede mną różne konie widziane w życiu i śnie. I te igrające w wodzie, i te, co na ławkach spokojnie drzemiały, wzajem położywszy sobie łby na szyjach, sielsko i sentymentalnie, i te, co kwiczały rozpaczliwie pod ogniem granatów. Czuję wiele, ale tego wyrazić nie podobna, bo odczuwanie formuje zaledwie strzępy myśli, materiały zdań, mgławicę nieukształtowaną. Mógłbym najwyżej określić ogólny temat tego: konie są bardzo ludzkie.

Było w tej burzy uczuć coś ze współczucia i wzdargy równocześnie, bo wówczas gardziłem ludźmi za jednakowość, stadność, głupotę i głupstwo, za to, że żyją w schemacie, który ukrywa pustkę. Porównanie koni z ludźmi miało w sobie nie tylko cechy wysokiej oceny, ale i smutku, że tak piękne zwierzęta związane są elementami człowieczymi, małością ludzką.

Siłą kontrastu przerzuciłem się wówczas do ziem wyobraźni i natychmiast samolot w obłokach wodnych Sekwany podsunął mi marzenie o koniach mechanicznych. Przecież one są ukryte w każdym silniku! Rozwinęła się wizja feeryczna: samoloty ciągnięone po niebie przez rumaki skrzydlate i metalowe, lecz cwałujące jak żywe wyścigowce. Słońce — to z dzieciniego lata — pałało, stada maszyn walczyły ze sobą, konie mechaniczne roztrzaskiwały się w boju, ginęły w oślepiających błyskawicach, a ognisty deszcz odłamków i szczątków sypał się na ziemię, na wieże miasta. Było to miasto Paryż, a może biblijna Sodomia niesprawiedliwych. Unosił mnie zachyt tak silny jak pycha, patrzyłem w wodę, wodząc wspaniały, nieziemski bój, aż wreszcie ukazało mi się coś nowego: przezroczyta ściana olbrzymich rozmiarów, stojąca obok łoża, na którym ktoś spał. To łoże było błękitne i ceglaste. Za ścianą trwał wielki srebrny koń z zamkniętymi oczyma i widziałem, że łoże i koń znaczą śmierć.

O mało z tego wszystkiego nie powstał poemat (to i owo nawet naszkicowałem w brulionie) pod tytułem „Zagłada Sodomy“.

Lecz odbiegła mnie „nieładność“, za ubóstwem życia bliźnich upatruję dziś czegoś, co mi się jeszcze nie odkryło, lecz co wiele znaczy. Żal mi za siebie i za wszystkich.

Konie, piękne konie wszech czasów, tabuny ze snu, widma mechaniczne, konie srebrne, oznaczające śmierć, może usłyszę któregoś dnia nutę z samego dna, nutę człowieczą, co dźwięczy mocno i ostro, a niebo całe dźwięga jak sosrab...

Józef Czechowicz

Stefan Wołski

PO KLĘSCIE

1

To było w lesie na skraju,
we wrotkowskim lesie, skąd Lublin — na dłoni.
Ach te drzewa, te drzewa! Po co udają
lato, gdy jesień w liści koronie?
I czemu ta cisza błękitu wysoko,
jakby wojny nie było, jakby pokój...

I słońce, słońce...
Bandy wróbił w leszczynie...
A wiatr w palce gorące
— chmurek okrągłe dynie...
i dmucha.

Jak pięknie!

Ej, żołnierzu, rozbitku! Serce ci chyba pęknie.
Nie pęknie; serce nie pęka.
Chyba że... Pistolet przecie w ręce...
I nie serce, tylko ta nitka, ta nitka cienka...
I wtedy by już nie więcej.

2

A twoja wolność — podobna nitka;
była... nie ma...
jak wiatr w wierzbowych wtkach.

Jak iść dalej? Jak patrzeć w oczy wroga?
Jak unieść dni pogardy
w czarnych mundurach, w wrzaskach brutalnych i twardych,
na ulicach, na placach, na drogach?

2

Domy twe przeklinałem, miasto, że były spalone na dostatku sadle.
A oto teraz jestem —
jakby mi cię ukradli.

O, miasto! Tyś mi było nie matką — macochą.
Głodu-m się z twojej ręki najadł, goryczy.
Ja — z „motłochu“,

bezrobotny z ulicy.
To mnie w komisariacie pałkami...
To do mnie ze wstrętem: — „chamie“.
A ja pod Kutnem z szabłą...
A ja na Westerplatte...
Nie fabrykantom, nie bankierom, nie hrabiom...
Tobie, Ojczyzno — życie: najdroższy mój kwiatek
do bukietów, w których — rumianki polne i chabry
i te najprostsze kwiaty: chłopcy z fabryk.

3

To było w lesie na skraju,
we wrotkowskim lesie, skąd Lublin na dłoni...
Ach te drzewa, te drzewa nadzieję śpiewają
nachylone powiewem ku skroni...

Stefan Wolski

Zygmunt Mańkowski

GORĄCE TROPY

(Notatki z wędrówek po Biłgorajszczyźnie)

Biłgoraj — Tak! zaszła wyraźna zmiana w scenach mego widzenia. W Biłgoraju jestem po raz pierwszy w życiu, ale oczyma wyobraźni niejednokrotnie oglądałem to miasto. W okresie okupacji było Mekką partyzanckiego ruchu. W małych miasteczkach skutych żelazną pętlą okupacji marzyliśmy o nim jako o mieście hohaterze, w którym gestapo oglądało ziemię polską jedynie przez otwory dla maszynowych karabinów. Jak złudne były te marzenia! — Jurek, który towarzyszy mi w wędrówce po mieście, sceptycznie wzdusza ramionami. Przeżył tu najboleśniejsze chwile swego życia. Z narzram się więc z nim w gąszczu tragicznych wspomnień, wbrew wszystkiemu, co nas w tej chwili otacza. Tu prawie każdy kamień ma swoją historię...

Na ulicy Kościuszki nowy, przestronny Dom Kultury. Jeszcze 12 lat temu rozciągały się gmachy gestapo, więzienia, sąd, obóz przejściowy. „Cały ten obszar to jedno wielkie „pole róż“ — mówi Jurek. Patrzymy w głębokim milczeniu. Z Domu Kul-

tury dobiega wesoła kakofonia dźwięków. Dookoła lampiony, kwiaty, transparenty... jutro wielki festyn pieśni i tańca ziemi lubelskiej. Bez śladu rozplynęły się w przejrzystym błękitcie echa strzałów, alarmowych syren, odgłosy podkutych butów egzekucyjnych plutonów. Myśl wraca jednak uparczywie do tych czasów: „...Usiadłem. Kolana podciągnięto mi pod brodę, skute ręce przesadzono przez kolana. Jeden z gestapowców podał drążek stojący w rogu. Wetknęto mi go pod kolana. Za chwilę zawisłem na tym drążku między dwoma stolami. W miejscu gdzie zwiślała głowa podstawiono miednicę... Schlagen! — Zabrzmiało głośnym echem w sali i jednocześnie pasy opadły z obu stron na moje ciało. Butelki z wodą spełniały swoje zadanie. Całe strumienie wody spadają mi na twarz, zalewają oczy, usta, nos. Nie mogę oddychać. Duszę się, topię. Krzyk mój zalewa woda spadająca nieustannie z góry... Ból był straszny, ponad moje siły... Unoszę głowę, by wypłuć wodę, by uciec przed tą falą, co dusi, lecz Majewski pociąga mnie mocno

za włosy do dołu...") — Może wśród śpiewających w tej chwili w Domu Kultury jest Maria Krasulanka, autorka tych wspomnień, ocalała cudem z hitlerowskiej katowni? Może w tym miejscu osunął się na bruk 12 lat temu nieznaną żołnierz podziemia, którego podcięła krótka seria automatów, gdy po przerwaniu się przez strażę leciał ku upragnionej wolności? Z której strony przeprowadzono udane akcje wyzwolenia więźniów? Ile ofiar pochłonęło to miejsce?...

Stoimy koło małej jednopiętrowej kamieniczki. Na dole sklepy: masarski i dziewiarski, na górze w oknach firanki, kwiaty, w jednym z okien gra radio. „Z tego okna w czerwcu 1944 roku — Jurek z trudem unika patosu — wyskoczyła na bruk w czasie śledztwa Wanda Wasilewska, nauczycielka z pobliskiej wsi. Rozstrzelano ją później na Rapach“ — patrzę za ruchem jego ręki: na placu pod oknem bawią się dzieci, bandażują czerwonym gałgankiem lalkę, której urwała się ręką. Bez skutku rozglądam się za tablicą upamiętniającą to miejsce zbiorowego męczeństwa... Za kamieniczką rozciąga się pusty obszar. Wzrok opiera się dopiero na moście nad Ładą i zielonym masywie cmentarza. Tu niegdyś skupiało się miasto. W 1939 roku spalili je niemieccy dywersanci. Miasto płonęło jak stos wśród dantejskich scen. Wybuchała amunicja, płonęły sklepy, tłumy uciekinierów i wojska tarasowały ulice, trzaskaly salwy patroli rozstrzeliwających schwytanych dywersantów. Złapano ich 17 — ile wśród nich było niewinnych ludzi ogarniętych paniką? — Sierpniowe słońce rozleniwia i oddala straszną wizję wrześnieowych dni. Przed nami w kilkunastu kioskach ustawionych w imitację rynku nudzą się sprzedawcy (brak towaru!), w ocalałym domku gra radio, kwitną pelargonie, miasto spowita senna południowa nuda...

Cmentarz w Biłgoraju... Wysokie brzozy rozczesywane łagodnym wiatrem. Czerwienieje jarzębina... Zmarł w 1873 roku... w 1912... 1938... potem jednak coraz więcej tabliczek z lat 39, 40, 41... Czas trwa tu w wielkiej ciszy kołyszących się drzew. Na skraju cmentarza monotone rządy jednakowych krzyży: to nieznaną żołnierze z 1939 r. Dlaczego do tej pory nie odszyfrowano ich nazwisk? Czy doprawdy nie mieli dokumentów lub numerów ewidencyjnych? Wokół grobów nieład: deski, resztki papierowych worków po cemente. Po dwunastu latach niepodległości ktoś ulitował się nad poległymi. Rządy grobów ujęto w betonowe krawężniki. To wszystko. W jednym z rzędów paradoksy: funkcjonariusz UB, który „poległ w walce z bandami reakcyjnymi“, obok żołnierze AK, a w środku nieomal na honorowym miejscu Jan Kowalski granatowy policjant zabity w czasie buntu więźniów 16.IX 1942 roku. Nie tylko więc czas nie odgrywa na tym cmentarzu roli? ...Wzdłuż Łady idziemy do kościoła w Puszczy Solskiej. „Puszcza Solska“ to tym razem przedmieście Biłgoraja. Kościół jest ogromny o przedziwnej architekturze. We wrześniu 1939

roku opanowali go hitlerowcy. Dwa czołgi, które przedarły się przez fale uciekinierów i cofającej się armii „Lublin“, ochraniały stanowiska ckm na wieży kościelnej. Przez szereg wyczerpujących godzin toczyła się tu strasna bitwa o zlikwidowanie śmiercionośnego stanowiska. Jedyny ślad tych czasów to rządy krzyżów na pobliskim cmentarzyku. Krew wsiąkała bez śladu w gorący, szary piasek biłgorajskich pól. Cmentarzyk obok roli przygnębiające wrażenie. Odruch zbiorowej nienawiści zdeprawstował groby niemieckie, śliskie asekuranctwo odpowiedzialnych czynników nadszarpnęło mogiły żołnierzy polskich. Kiedyś opiekowały się nimi szkoły — dziś porastają chwastami... Wracamy powoli do miasta. Mijamy porozrzucane domki przedmieścia. Niemal każdy z nich oddał swej ziemi bohater. Tu mieszkał „Żbik“, tam „Halina“, tu zginął „Stary“... Domki są typowe jak na każdym przedmieściu: w oknach wietrzy się pościel, w ogródkach kołyszą się malwy, obrodziły jabłonki, ktoś naprawia rower. Życie powróciło do porażającego swym spokojem nurtu i dlatego może tak trudno uwierzyć w to, że dwanaście lat temu rozgrywał się tu zbiorowy dramat ludzkiego istnienia... Wieczorem przy kiosku z piwem rozmawiamy z przygodnymi znajomymi. Rozmowy zaczynają się od spraw najbliższych. W mieście permanentnie brak masła, wędlin i mięsa. Pieczywo o haniebnej jakości pojawia się dopiero w porze obiadowej. Wraz z Jurkiem przeżywamy uczucie żenującego wstydu. Kim są gospodarze miasta, którzy zmuszają tych ludzi do tak przyziemnych trosk? Jakże gorzkie muszą być myśli tych ludzi, którzy przez długie lata ponosili ofiary, walczyli o prawo do godnego życia? Jeszcze gorszą bolączkę stanowi sprawa mieszkaniowa. Miasto uległo w większości spaleniu w 1939 roku. Niestety przemysłna biłgorajska Rada Narodowa zahamowała budownictwo indywidualne i społeczne oczekując zatwierdzenia „generalnego planu rozbudowy miasta“ (!!!). Tymczasem w prowizorycznych przybudowach vegetuje już od dwunastu lat setki osób. W ogóle bilans przemian gospodarczych w mieście jest żenujący: budynek administracyjny (!) Włoszankarki, internat dla młodzieży, okazały, wyjątkowo udany Dom Kultury i jeszcze dwa trzy budyneczki. Tymczasem miasto ma wyjątkowe prawo domagania się kredytów, subwencji, a przede wszystkim szacunku i uznania... Rozmowy z mieszkańcami są przykre. Nie dotykam zupełnie sprawy najdrażliwszej: rehabilitacji żołnierzy podziemia. Pod Biłgorajem nurtuje rwący, podskórny prąd urazów, żalu, milczącej rezerwy. W okresie okupacji Biłgorajszczyzna była terenem w y ł ą c z o n y m. Hańbą naszych czasów jest fakt, że w gruncie rzeczy nikt nie wie, co to właściwie oznacza. Wielkie tablice ostrzegawcze z napisem „Banditengebiet“ obalono już w pierwszych dniach wolności. Próżno ich poszukiwać będzie kiedyś kustosz muzeum narodowej martyrologii. Wówczas oznaczały one prawo bezwzględного użycia broni dla każdego Niemca i ich sprzymierzeńca. Trwała więc na tych terenach zacięta, śmiertelna walka. Płonęły wsie, dziesiątko-

* Terror niemiecki w Zamojszczyźnie 1939—1944 pod red. Z. Klukowskiego, s. 34—68.

wano ludność. Szczególnie warunki bytu odsunęły na ogół rozhisteryzowane politykanstwo, które lansowały niektóre grupy podziemia. Aby żyć, aby uzyskać poparcie społeczeństwa, trzeba było przede wszystkim walczyć. Dotyczyło to zarówno partyzantki Kowpaka, która tu docierała, jak podziemnej Armii Krajowej, która pokryła Biłgorajską gęstą siatką organizacji. Do oddziałów AK przenikali więc biłgorajscy chłopci, inteligenci i robotnicy. Nie szukali w niej jednak ani awansów, ani nie zamierzali popierać wielkich politycznych mistyfikacji pogrobowców sanacji. Trudno nawet na ich konto wpisać cień planu „Burza”, który legł na tragicznej i bolesnej kłęsce pod Osuchami. Wielu z tych ludzi zginęło, wielu, bardzo wielu żyje z poczuciem krzywdy i zawodu.

Rapy... Na Rapy idzie się szosą z białego kamienia. Po obu stronach już kilometr za miastem ciągnie się zielony bezkres puszczy solskiej. W pewnym miejscu drogowskaz na lewo: Rapy! Idziemy dróżką w ród lasu, która była ostatnią drogą setek niewinnych ofiar. Z biłgorajskiego więzienia i getta przywożono tu pracowicie dzień po dniu ofiary. Skazani kopali płytkie rowy, odgłos krótkich masyzynowych serii nie docierał nawet do miasta, pochłaniał je łagodny szum lasu i miękka darń podszycia. Gorący piasek sypał się na oczy ludzi, których jedynym pragnieniem było przeżyć koszmar okupacyjnej nocy. Dziś już nikt nie wie, gdzie spoczywają. Las zachłannie pokrył wzruszoną ziemię.

Mogiły zarosły wrzosami, mchem i młodymi świerkami. Któż odważy się zakłócić ciszę zmarłym natrętnym poszukiwaniem zwłok. Las cmentarzysko. W sierpniowy upalny dzień 1944 roku dzieci pasące krowy odkryły jedną z mogił. Leżało w niej 60 partyzantów ujętych w bitwie pod Osuchami. Zwłoki ekshumowano na cmentarz. W miejscu kaźni postawiono krzyż, usypano kopczyk z ziemi zroszonej ich krwią. Nie ma jednak żadnego napisu! Dlaczego??? Dookoła ludzie zbierają grzyby, pasą krowy. Czasem tylko ktoś wstydliwie zerwie kilka leśnych kwiatów i złoży pamięci pomordowanych.

Wędrówki po mieście dobiegają końca. W małym notesiku notuję gorączkowo pytania, które cisną się do głowy. Kim są ludzie piastujący w tym mieście godność gospodarzy miasta? Skąd pochodzą? — Z Nakłą? Biecza? Dlaczego nie uszanują godnie męczenników i bohaterskich tradycji tego miasta? Jak wstrząsnąć ich sumieniem? Jak wołać o szacunek dla tradycji? Kto umieści w tym mieście tablice pamiątkowe, uszanuje groby, wyda Księgę pamiątkową, zorganizuje muzeum martyrologii i walki? Kto wyjdzie ludziom Biłgoraja „zarażonym historią” naprzeciw? Kto pomoże w ich codziennych troskach, tak żenujących w mieście wielkiego poświęcenia? Z uczuciem bezradności opuszczam miasto.

Zygmunt Mańkowski

Włodzimierz Chełmiński

NAUCZYCIELOM — NA POMOC

Nauka szkolna jest już w pełnym toku. Jakie będą jej rezultaty? Mam poważne obawy, że znów skończy się na lamentach i cytowaniu mniej lub więcej „zabawnych” odpowiedzi uczniowskich na egzaminach. Ze sprawa wychowania i nauczania naszej młodzieży stała się ostatnio przedmiotem dyskusji publicznej, że się o niej głośno mówi i pisze, to dobrze, ale cały szkopał w tym, że się pisze w sposób drętwy. Po prostu pomija się ludzi i fakty. „Problemizuje” się i „rozpracowuje” dogłębne zagadnienia”, a sprawy zasadnicze się przemilcza. Do tych spraw należy rola, jaką w szkole naszej odgrywają jej władze. Na ten temat jakoś cicho. Czyżby kierownictwo lubelskiej nawy szkolnej otaczał jakiś święty nimb nietykalności? I tu jest właśnie źródło moich obaw.

Zacznijmy od początku roku szkolnego, od wielkiej narady nauczycielstwa w Domu Kolejarza. Znalazłem się tam i ja — nie jako nauczyciel, ale jako pisarz — sprawozdawca „Kamenu”, bezstronny obserwator faktów i ludzi.

Najpierw wysłuchałem referatu trwającego 2 godziny. Referat dał szereg pouczeń, jak po-

winien nauczyciel pracować, jakie powinien mieć lekcje, że musi powstać w szkole świadoma dyscyplina jako rezultat pracy kolektywnej, że trzeba młodzież wdrażać do karności, że Rada Pedagogiczna... że czynniki kierownicze..., że kolektyw..., że słabość ideologiczna... itp., itp. — same ogólniki, pouczenia: Nauczyciel „winien”, „powinien” i „musi”, słowem: po dawnemu na komendę!

Przypuszczałem, że usłyszę jakieś prze-myślane wypowiedzi na temat pracy w szkole wobec nowej sytuacji, w jakiej jesteśmy od czasu XX Zjazdu. A oto usłyszałem znów: winien, powinien, musi itp. Truizmów nie zabrakło, natomiast ze zdumieniem usłyszałem, że sprawy szkół licealnych i szkół dla dorosłych w ogóle nie mogą być omawiane, gdyż dyrektorzy szeregu szkół nie złożyli sprawozdań! Na miłość boską! (powtarzam tu wykrzyknik jednej z nauczycielek) co się dzieje? — Pytam: czy lubelskie władze nie są zdolne zająć stanowiska w sprawach tak ważnych, jak szkoły średnie, czyżby nie rozporządzały inspektorami, wizytatorami, organami kontrolnymi? Za moich czasów, a jestem człowiekiem

starym, nigdy nie brakło w szkole inspektorów i wizytatorów. Czyżby ocena pracy w szkole średniej była sprawą tak błahą, że wolno ją pomijać? „Po co tu jesteśmy, jeśli o nas się nie mówi?” — zapytała ostro jedna z nauczycielek. Tłumaczenie, że dyrektorzy kilku szkół nie złożyli sprawozdań, jest wręcz naiwne. Jakże można zwać winę na dyrektorów, jeśli się ich nie przypilnowało? Tu jest właśnie przykład różnicy między teoretycznymi wywoda-

jak to wojsko sąsiadujące z jej szkołą nie umiało sobie poradzić z jej wychowankami i telefonowało do niej po pomoc — cierpła na mnie skóra, bo cóż? Naczelnym obowiązkiem władz szkolnych jest rozwiniecie jak najszerzej walki z chuligaństwem, a tymczasem na Sejmie Nauczycielskim sprawy wychowawcze starszej młodzieży zjeżdżają ze stołu prezydialnego, bo dyrektorzy... sprawozdań nie złożyli. W tych warunkach jasną jest rzeczą, że chuligaństwo nadal będzie się szerzyć.

W czasie obrad, z wypowiedzi dyskusyjnych „odgórnych“, dało się wyraźnie wyczuć, że przede wszystkim nauczyciel odpowiedzialny jest za chuligaństwo, nieuctwo, amoralność itp. Nauczyciele wyjaśniali, że nie mogą brać odpowiedzialności za wykroczenia młodzieży znajdującej się często pod przemożnym wpływem edukacji rodzicielskiej lub czynników nieodpowiedzialnych, ale czy takie wzajemne przerzucanie odpowiedzialności na siebie ma sens? Wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za naszą młodzież. Lamenty tu nic nie pomogą, natomiast dyskusja rzeczowa i planowe działanie na pewno dadzą rezultat. A kto ma planować, jak nie władze szkolne?

Smutne przeżywałem chwile na Sejmie nauczycielstwa lubelskiego, ale nie zabrakło tam także momentów dodatnich, które chcę tu, dla dobra sprawy, jak najbardziej uwypuklić. Były to wypowiedzi niektórych nauczycieli — spontaniczne, żarliwe, ich moc przekonania i wiara w głoszoną prawdę silniej przemawiały, niż słowa. Z marazmem i frazeologią kontrastowały wymowne głosy „wiecznie młodych“ choć leciwych pedagogów.

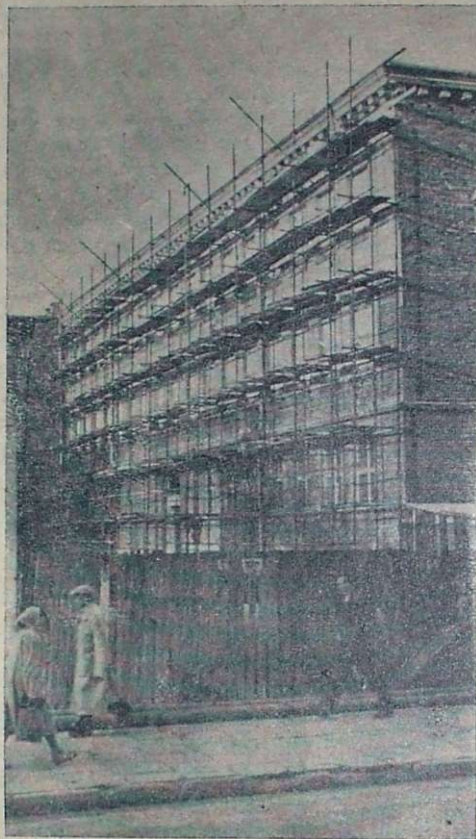
Dajcie lepsze programy! oceniacie sprawiedliwiej naszą pracę, „nie depreczcie nas“, nie chcemy „pedagogusów“ i biurokratów — wołało z mównicy.

Nie brakło też w wypowiedziach nauczycieli a zwłaszcza kierowniczek „przechowalni“ i świetlic, ciepłych akcentów pod adresem młodzieży „z gruntu dobrej“.

Wracając z „Domu Kolejarza“ nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że odchodzę z placu boju. W świecie lubelskiego nauczycielstwa toczy się zażarta walka, narastają konflikty, osłonięte kurtyną frazeologii...

Oto są fakty! oto są ludzie! Nic nie pomogą rozważania, projekty, uogólnienia, choćby je sam Arystoteles układał, jeśli się zbagatelizuje praktykę życiową. Ludzie stojący u steru lubelskiej nawy szkolnej nie chcą czy nie mogą dostosować się do nowych form pracy, lekceważą wysiłek nauczycielstwa, nie zadają sobie trudu analizy rzeczywistości. Jeśli pod tym względem nie nastąpi zmiana na lepsze, jeśli się nie wyciągnie pomocnej ręki ku trzodzącemu się ponad siły nauczycielstwu, trudno w ogóle myśleć o naprawie szkoły.

Włodzimierz Chelmicki



Szkola Nr 24 przy ul. Sławińskiego.

(fot. — J. Chromiński)

mi na nutę „musi“ a praktyką. A któż jak nie lubelskie władze szkolne „winny były i powinny“ skłonić dyrektorów do złożenia sprawozdań, albo wystąpić z własnymi materiałami, których chyba nie brak w szafach Wydziału Oświaty. W rezultacie nie wiemy, jakie były osiągnięcia i błędy w szkolnictwie średnim, a w następstwie trudno mówić o przyszłości szkolnictwa średniego, skoro jego praca zaczęła się od Sejmu Niemego.

Sprawę chuligaństwa wśród młodzieży potraktowano wręcz komicznie. Lubię z humorem i pobłażliwością patrzeć na życie, ale gdy usłyszałem opowiadanie jednej z dyrektorek,

„ŚWIATŁO“ DZIEŁEM RADYKALNEJ INTELIGENCJI

Stowarzyszenie „Światło“, wykazujące bardzo żywotną i szeroko zakreśloną działalność na terenie Lubelszczyzny w latach 1906—1915, zasługuje na obszerną monografię, którą zapewne opracuje historyk oświaty w Polsce. Tymczasem, pragnąc przypomnieć społeczeństwu naszemu tę zasłużoną placówkę, daję okrucy osobistych wspomnień i zaczerpniętych o „Świelie“ wiadomości, łuszac, że może staną się one impulsem do poważnego i gruntownego przebadania tego odcinka prac oświatowo-kulturalnych przez osobę bardziej ode mnie do wykonania tego zadania powołaną.

W. P.

„Niedługo po wejściu do Komitetu Redakcyjnego „Kuriera Lubelskiego“ zetknęłam się z działalnością „Światła“, stowarzyszenia, którego celem było szerzenie oświaty i kultury wśród najszerszych warstw społeczeństwa.

W okresie ruchów wolnościowych w r. 1905, wobec uzyskania pewnych swobód, konieczność szerzenia oświaty stanęła przed naszym narodem jako sprawa nagląca, gdyż po przeszło stuletniej niewoli carskiej otrzymaliśmy w spadku ciemnotę mas i zatrważający analfabetyzm, a przecież znajdowaliśmy się w centrum Europy — mieliśmy prawo szczyścić się dawną kulturą i wspaniałą literaturą.

Na skutek strajku szkolnego z trudem powstające prywatne szkoły polskie (bez praw) nie mogły w szybkim tempie sprostać olbrzymiemu zadaniu, z pomocą przyjść musiała inicjatywa prywatna.

W „Kurierze Lubelskim“ dn. 14 września 1906 r. w artykule pt. „Światło“, tak między innymi wypowiada się na ten temat dr Mieczysław Biernacki.

Każdy, który mocą przypadku otrzymał w dziale pewną dozę wykształcenia, ma w naszych czasach obowiązek oddania swej wiedzy na usługi ojczyzny, każdy stawić się powinien do apelu pod sztandar związku szkolnego z jednym li tylko hasłem: walki z ciemnotą i nieuctwem.

Władze carskie zalegalizowały w r. 1905 Stowarzyszenie Oświatowe p.n. „Macierz Szkolna“. Trzeba bezstronnie przyznać, że stowarzyszenie to robiło dużo, ale całkowicie opanowane zostało przez endecję, nie mogło więc zadowolić sfer postępowych, szczerze demokratycznych, poza tym rządzone było centralistycznie, nie dając swobody działania kołom prowincjonalnym. W Lublinie działało jakiś czas postępowe Koło Macierzy, ale na mocy decyzji terytorialności zostało rozwiązane. Ludzie pracujący w tym kole nie chcieli się poddać pod dyktando osób, do których nie mieli zaufania i których ideologii nie aprobowali.

We wspomnianym artykule tak dalej pisze dr Biernacki:

Pozostanie i dalsze przebywanie w „Macierzy“ dla nas — mniejszości postępowej — byłoby tylko walką wewnętrzną, bezowocną i bezcelową — i dlatego zrodziła się idea utworzenia oddzielnego związku pod nazwą „Światło“. Uważaliśmy, że konkurencja w dobrym, uczciwie prowadzona, nie może być nigdy czymś złym, a przeciwnie czymś dobrym.

Duszno i ciężko było nam w półmroku i urzędniczym biurokratyzmie „Macierzy“, pragnęliśmy wyjść na swobodę, odetchnąć całą pierś i ujrzeć prawdziwe światło. Pragnęliśmy stworzyć hufiec promienny z światłem narodu polskiego — Stefanem Żeromskim na czele. Pragnęliśmy zjednoczyć wszystkich wzgardzonych, usuniętych i stać się dla nich światłem, które rozprasza mroki.

Artykuł ten kończy dr Biernacki takim ostrzeżeniem:

Ani na chwilę nie wątpię, iż „Światło“ będzie obmawiane, szykanowane i bojkotowane przez organa i przedstawicieli ciemnoty i półmroku. Bojkotowani i szykanowani będą wszyscy ci, którzy zajmą wybitniejsze w „Świelie“ stanowisko, niech więc serca wasze będą naprzód zahartowane na tę próbę krzyżową, której podlegają wszyscy, walczący za Prawdę i Swobodę. Ale my nie przyjmujemy walki słownej, częściej i bezpłodnej — lecz czynem szerzyć będziemy Światło w miarę sił i ponad siły nasze.

Z takim ładunkiem ideowym, z takim nastawieniem psychicznym zabrano się do roboty.

Postępowej grupie udało się uzyskać zalegalizowanie odrębnego stowarzyszenia oświatowego.

Lubelskie Towarzystwo szerzenia oświaty pod nazwą „Światło“ wciągnięte zostało do rejestru stowarzyszeń i związków na gubernię lubelską pod Nr 4 na zasadzie decyzji Lubelskiego Urzędu Gubernialnego do spraw Stowarzyszeń, zapadłej dnia 9 (22) sierpnia 1906 r.

Gubernator Lubelski

Szambelan Dworu Jego Cesarskiej Mości
podpisał E. Mienkin.

Zebrań organizacyjnych nowej placówki odbyło się w Lublinie dnia 23 września 1906 r. w teatrze. Na zebraniu obecny był Stefan Żeromski, który został prezesem Zarządu Głównego, sekretarką — Maria Staniszevska

Koło lubelskie było bardzo czynne, rozwijało szeroką działalność oświatową, nawiązując żywy kon-

takt z klasą robotniczą, prowadziło dwie szkoły podstawowe: na Kalinowszczyźnie i przy Placu Bychawskim. Pamiętam, że długoletnią nauczycielką w szkole „Światła” była p. Anna Wiśniewska, która później brała też czynny udział w pracach Wydziału Społeczno-Wychowawczego LSS. Biblioteka „Światła” cieszyła się dużą frekwencją, zgromadziła dobre książki z beletrystyki i wiele książek naukowych i popularno-naukowych. Urządzano artystyczne wieczornice, poprzedzane pogadanką lub odczytem. Sprowadzano diapozyty według obrazów Grottgera.

bardzo aktywne, jak w Osinach, którego duszą był wybitny działacz społeczny, radykał Wacław Kruszewski, w Niezabitowie (Dulębowie), w Puławach, w Kazimierzu Dolnym.

Koło naleęczowskie ma swoją specjalną historię. Pracom oświatowo-kulturalnym w Naleczowie prowadzonym tam jeszcze przed założeniem „Koła Światła”, należałyby się specjalna monografia. Wspomnę o nich w wielkim skrócie. *)

W latach „wolnościowych” 1905—1906 mieszkali w Naleczowie wybitni pisarze i działacze społeczni: Stefan Żeromski z żoną Oktawią, Gustaw Daniłow-



Grono osób pracujących na polu oświatowym w Naleczowie w latach 1905—1906. Siedzą: F. Morzycka, St. Żeromski, G. Daniłowicz, Dr Rudzki, Bogdanowiczówna; stoją: Dulębowie, F. Sulcowska i Julia Rudzka.

Przewodniczącym Komisji Naukowej był Mieczysław Biernacki. Publiczne wykłady nazwano „Uniwersytetem dla Wszystkich”. Lokal tego „Uniwersytetu” mieścił się w teatrze Makowskiego (dzisiaj kino „Staromiejskie”). Z miejscowych prelegentów wygłaszali odczyty: Witold Giełżyński, Kazimierz Dulęba, adwokat Jan Iwański, dr Paweł Jankowski, Sokołowski z Sieprawek i inni. Wśród przyjezdnych prelegentów nie brakowało znanych nazwisk wybitnych działaczy i literatów oraz uczonych jak: Iza Moszczyńska, Weryho, Władysława Weychert, późniejsza prof. Szymanowska, Andrzej Niemojewski, Sokolnicki, Ludwik Krzywicki, Artur Górski, Stanisław Posner, Wacław Berent, Koszutski, Pietkiewicz, Aleksander Świętochowski, Bukowiński, Hirszbard, Heilpern, Kramsztyk, Rafał Radziwiłłowicz (szwagier Żeromskiego, którego imię otrzymał bohater „Popiołów”).

W r. 1912 przyjechał z Paryża do Lublina brat mój, Jan Hempel, skierowany tu przez Żeromskiego dla prowadzenia pracy oświatowej w „Świetle”. Zadanie to Jan w znacznej mierze wypełnił. Powstawały chłopskie Koła „Światła”, niektóre z nich

ski, Kazimierz i Helena Dulębowie, Faustyna Morzycka, nauczycielka, niestrudzona, pełna zapału działaczka oświatowa, autorka wielu doskonałych opracowań naukowo-popularnych, Julia Rudzka z mężem Przemysławem, lekarzem zakładowym.

Zakrzętnięto się koło założenia szkoły dla „dzieci ludu, wyrobników i licznej służby miejscowej”. Nie czekając na pozwolenie władz, w willi „Tolin” otwarto dwa pierwsze oddziały. Całą duszą oddała się pracy w tej szkole F. Morzycka, dzielnie, gorliwie i bezinteresownie sekundowali jej oboje Dulębowie i Rudzcy.

Żeromski z towarzyszymi urządza systematycznie kursy wieczorowe dla analfabetów, organizowano obchody narodowe, koncerty i odczyty.

„Nienasycone serce” tego żarliwego społecznika troszczy się o zaniedbane dzieci matki wyrobniicy — marzy o stworzeniu dla nich ochronki. Jakże trudno zrealizować to zamierzenie wobec

* Wiadomości w tej sprawie zaczerpnęłam z artykułu W. Nagórskiej pt. „Prace konspiracyjno-oświatowe w Naleczowie w latach 1905—1907”. Region Lubelski Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Lublinie r. 1929.

braku funduszków. — Ale zapal czyni cuda. Wkrótce w willi Żeromskich „Oktawia“ otwarto prowizoryczną ochronkę dla najbardziej potrzebnych dzieci, którym opiekuje się J. Rudzka.

Z różnych imprez artystycznych i ofiar poszczególnych jednostek doceniających pracę oświatową, jakże bardzo potrzebną wobec ówczesnego upośledzenia pod tym względem szerokich mas — płyną skromne fundusze na pokrycie niezbędnych wydatków.

Ochronka zostaje przeniesiona do osobnego domu — można więc już przyjąć więcej dzieci.

Ta grupa szlachetnych działaczy ludziła się, że hasło pracy oświatowej zdoła zjednoczyć wszystkich bez względu na przynależność partyjną i poglądy polityczne. Srogo się zawiedli. Żywa ich działalność wzbudza niepokój wśród reakcyjnie usposobionego drobnomieszczanstwa miejscowego. Z ambony pada ostrzeżenie, aby rodzice nie posyłać dzieci do ochronki. Na jednym z zebrań w sprawie oświatowej dochodzi do ostrej scysji, w rezultacie której wyraźnie zarysowały się dwa odłamy „oświatowców“.

Dalsza współpraca ze sferami reakcyjnymi stała się niemożliwa. Boykotowały one poczynania postępowych działaczy, nie szczydziły szykan i oszczerstw. Żeromski postanowił zerwać z taktyką jednolitofrontową.

Wkrótce powstało „Światło“ nałęczowskie.

...

Z członków lubelskiego koła „Światła“ pamiętam następujące osoby: dr. Witolda Chodźkę z żoną, dr. Mieczysława Biernackiego, Stanisława Brzezińskiego, Annę Wiśniewską, Polakowską, Kocowskich, dr. Pawła Jankowskiego, Dułębów, Marię Staniszewską, dr. Bronisława Sitkowskiego, Giełżyńskich, prof. Stefana Uziębłę, Józefę Kunicką, pastora Schoeneicha, dr. Jaczewskiego. Wiem, że było dużo osób, ale ich nazwisk już nie pamiętam.

Stowarzyszenie czerpało fundusze na swoją działalność ze składek członkowskich, głównym jednak źródłem dochodów były różne imprezy. P. Maria Staniszeńska opowiadała mi, że w teatrze lubelskim parokrotnie wystawiano amatorskimi siłami różne poważne sztuki jak „Wesele“ Wyspiańskiego (dn. 10.III.1908), „Kłątę“, niektóre sztuki Przybyszewskiego. Przedstawienia te cieszyły się dużym powodzeniem, cały „postęp“ lubelski był wtedy w teatrze, a kasa „Światła“ poważnie była zasilona.

W r. 1913 zostałam członkiem „Światła“, pełniąc obowiązki członka Komisji Rewizyjnej. Zebrania odbywały się nie tylko w Lublinie, często wyjeżdżaliśmy do kół wiejskich; wtedy nie ograniczaliśmy się do załatwienia spraw formalnych, ale prowadziliśmy rozmowy z miejscowymi działaczami i członkami „Światła“, dyskutowaliśmy na temat dalszego rozwoju prac stowarzyszenia, prostowało się niektóre błędne i niewłaściwe projekty i wytyczało plan prac. Te wyjazdowe zebrania były nie tylko bardzo miłe, ale i owocne.

...
Gdy wspominam „Światło“, jak żywa staje mi w pamięci wspaniała czcigodna postać KAZIMIERZA DUŁĘBY.

Trzeba, aby młodzież знаła nazwiska i działalność pionierów postępu i radykalizmu polskiego z czasów, gdy nie ordery i stanowiska, lecz prześladowania i więzienia były zapłatą za ich ofiarną pracę. Jednym z tych niestrudzonych działaczy, całe życie poświęcających „służbie społecznej“, był Kazimierz Dułęba, agronom, związany z radykalnym ruchem chłopskim.

W latach 1903—1907 Kazimierz Dułęba był kierownikiem gospodarczym i wykładowcą w dwuletniej szkole rolniczej dla męskiej młodzieży chłopskiej w Pszczelinie koło Brwinowa, zorganizowanej i prowadzonej przez działaczkę ludową Jadwigę Dziubińską. Szkoła ta była utworzona dzięki prywatnym funduszom.

Praca była przeważnie „honorowa“. Lekcje polskiego, historii, literatury prowadziła Julia Pawłowska, dojeżdżając z Warszawy. Po zapoznaniu się z typem szkół rolniczych w Danii przejęła kierownictwo szkoły w Pszczelinie po Jadwidze Dziubińskiej, która z kolei objęła kierownictwo polskiego typu szkoły dla dziewcząt wiejskich w Kruszynku. Tak to w tym czasie wiele instytucji oświatowych powstawało dzięki inicjatywie i ofiarnej pracy jednostek i zespołów prywatnych, reprezentujących ówczesny radykalizm społeczny.

Kiedy poznałam Dułębę, był w podeszłym wieku, ale dobrze się jeszcze trzymał. Administrował majątkiem Brzeziński — Niezabitów, gdzie odbywałyśmy czasem zebrania „Światła“.

Starzy chłopi z Niezabitowa mogliby dużo opowiedzieć o działalności oświatowej i społecznej Kazimierza Dułęby w latach 1907—1910 w Niezabitowie i okolicach. Niestety, już dzisiaj nie mam możliwości dotarcia tam dla zebrania materiałów.

Wiem też, że był dyrektorem szkoły gospodarczej dla dziewcząt wiejskich w Krasieninie.

Szkoła ta powstała dzięki zbiorowej fundacji, na którą głównie złożył się wkład działaczki ludowej, Ireny Kosmowskiej, poza tym Haliny Chelmickiej, dr. Pawła Jankowskiego, i — jeśli się nie mylę — dr. Mieczysława Biernackiego.

Kazimierz Dułęba nadawał się na stanowisko dyrektora takiej szkoły jak mało kto: rozumiał młodzież i ona otaczała go miłością i szacunkiem. Dzięki niemu w szkole tej panowała cudowna atmosfera, sprzyjająca rozwojowi najlepszych cech duszy ludzkiej — uspołecznieniu, uczciwości, gotowości do pomocy wzajemnej. Zona jego, Helena, była godną towarzyszką jego życia, również oddaną służbie społecznej.

Dwumiesięczna szkoła w Krasieninie dla córek chłopskich została kompletnie urządzona i wyposażona w nowoczesne maszyny gospodarskie, rasowy inwentarz i sprzęt mleczarski. Utrzymywana była do czasu ostatniej wojny przez Wojewódzki Związek Kółek Rolniczych.

Obecnie z przykrością dowiaduję się, że po wojnie gmach szkoły oddany został Urzędowi Gminnemu, jest poważnie zniszczony, a należał do zabytków, podlegających ochronie i konserwacji.

Szkoła przestała istnieć.

Mniej więcej taki sam los spotkał inne szkoły dla chłopskiej młodzieży, utrzymywane przez samorząd (sejmiki) jak w powiecie zamojskim: Janowice, Sitno, w chełmskim Okrżów, w biłgorajskim Teodorówka i inne. Czy nie szkoda?

Kazimierz Dulęba był z przekonania skrajnym lewicowcem — nie wiem, czy należał do PPS lewicy, czy może nawet później do KPP — wiem, że był niezłomnym wolnomyślicielem. Pracy nad podniesieniem uświadczenia społecznego chłopca polskiego oddawał się z żarliwością. Został upamiętniony przez Żeromskiego, w jego trylogii „Nawracanie Judasza” jako ten niestrudzony prelegent, który miewa konspiracyjne w stołach lub innych zabudowaniach gospodarczych pogadanki dla chłopów, ucząc ich rolnictwa i tłumacząc układ stosunków społecznych i politycznych, a na tym tle — dołę chłopca i służby folwarczej.

Dulębowie przeżyli więzienie carskie, gdy wraz z młodzieżą „Przyszłości” lubelskiej zostali aresztowani i wywiezieni do Rosji w r. 1915.

Ostatnie lata życia Kazimierz Dulęba spędził w Nałęczowie utrzymując się ze skromnej emerytury. Był już starcem, ale oczy jego wyrażały zawsze płomienną i do końca niezłomną duszę. Odwiedzałem go w Nałęczowie, złożonego już ciężką niemocą.

* * *

Rodził się polski faszyzm...

Pamiętam, z jaką namiętną pasją potępiał Dulęba wybryki młodzieży obwiewpolskiej, goryczą i głębokim smutkiem przejmowały go rządy sanacyjne... „Nie o taką Polskę walczyliśmy, ale zobaczy-

cie — powiedział do mnie — to przeminie — prawda i sprawiedliwość zatryumfują, tylko musi się w Polsce przepalić wiele zła”.

Szczęśliwie dla niego, że nie dożył czarnej nocy okupacji hitlerowskiej. Umarł w Nałęczowie 23 czerwca 1932 r. Pogrzeb jego stał się pewnego rodzaju poważną manifestacją; bez księdza szliśmy za jego trumną z Nałęczowa do Wąwolnicy, gdzie został pochowany obok swego brata, Henryka Dulęby — wielkiego męczennika za sprawę robotniczą i polską, członka Polskiej Partii Socjalistycznej „Proletariat”, zasądzonego w procesie 29 Proletariatyków z Waryńskim na czele (r. 1885) na kartę i długoletnie osiedlenie na Syberii.

Helena Dulębina jakiś czas po śmierci męża mieszkała w Nałęczowie, potem przyjaciele pomogli jej przenieść się do Warszawy — odwiedzałem ją parokrotnie w jej mieszkaniu w Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej na Żoliborzu. Pracowała czas jakiś w Instytucie Staszica — zawsze ofiarna i chętna oddawała się prawie do końca życia pracy społecznej, której w „Szklanych Domach” na Żoliborzu nigdy nie brakowało. Znajomi z Żoliborza opowiadali mi, że podczas okupacji pomimo już podeszłego wieku zachowywała się bardzo dzielnie, oddając różne usługi w konspiracyjnej walce z najeźdźcą.

Po wojnie odwiedzała mnie jeszcze parokrotnie w Lublinie, przyjeżdżając w rocznicę śmierci męża na jego grób do Wąwolnicy.

P. Helena nieraz opowiadała mi dużo szczegółów z okresu ich serdecznej przyjaźni i współpracy z Żeromskim — o p. Oktawii, ich synie Adasiu. Żałuję dzisiaj, że nie notowałam tych cennych wspomnień. Gdy człowiek nie jest jeszcze bardzo stary, zdaje mu się, że wszystko zapamięta i że na wszystko dosyć będzie czasu.

Wanda Papiewska

Irena Parandowska

CHCIAŁABYM ODNALEŹĆ DZIEŃ...

Chciałabym odnaleźć kategorię ospowatego, z córką o płowych warkoczach, w szarym sweterku, podartym na plecach. I jego zieloną katarynkę, której dźwięki, jak pasy kolorowe, znaczyły się na podwórku mego dzieciństwa.

Chciałabym również odnaleźć dzień, mojej nowej sukienki, w groszki różowe, zmokniętej od deszczu i smutnie potem powieszanej na haku, jak strach na wróble.

I jeden szloch i jeden ton, tej nuty na moście żalu, po tej przygodzie wiosennej.

Chciałabym zobaczyć — — — chciałabym spotkać — — — posłyszeć głos, może najbardziej posłyszeć głos! Może własny głos? Gdybym go mogła powtórzyć i poprosić ją o zwyczajną rzecz — tak jak to było w zwyczajnym dniu — powiedziałabym, powiedziałabym — opowiedziałabym to wszystko, co... nie, powiedziałabym tylko — Mamo.

Irena Parandowska

Iwan Franko

(1856—1916)

H Y M N

Wieczny rewolucjonista,
 duch, co wzywa nas do boju,
 do wolności, do rozwoju —
 to nieśmiertelności przykład.
 Ani klechów złych przekleństwa,
 ani więzień okrucieństwa,
 ani szal bagnatów carskich,
 ani ciężki rąk żandarmskich,
 ani szpiegów zastęp cały
 dotąd go nie pokonały.

Żyje wciąż, nie umarł wcale!
 Przed wiekami urodzony,
 powstał znowu uwolniony
 siłą własną; idzie dalej.
 Teraz okrzepi, śmiało kroczy
 tam, gdzie świta już po nocy.
 Słowo jego jak trąb tony
 wzywa, aby szły miliony,
 i milony z miejsca rusza,
 bo w tym słowie jest ich dusza.

Każdy — głos rozumie ducha:
 w chatach, gdzie głód z nędzą w parze,
 i w fabrycznych hal rozgwarze,
 Wszędzie, gdzie jest ciemność głucha,
 i na głosu jego rozkaz
 ziemię już opuszcza troska.
 Moc się rodzi, upór hardy:
 nie giąć pleców — w boju twardym
 zdobyć życie, gdy nie sobie,
 to potomkom w przyszłej dobie.

Wieczny rewolucjonista —
 duch, nauka, myśl i wolność
 w przyszłość kroków swych nie zwolnią,
 to nieśmiertelności przykład.
 Już się kruszy słaba glina
 i ruszyła grzmiać lawina.
 Gdzie się znajdzie siła w świecie,
 aby stanąć jej naprzeciw,
 by odwrócić świata dzieje,
 zgasić świt, co płomienie?!

Łesia Ukrainka

(1871—1913)

* * *

Wiem dobrze: w życiu mym się rozszaleje
 niejedna jeszcze zamieć ponad głową,
 opadać będą z serca wciąż nadzieje,
 jak liście z drzew, gdy zadmie wiatr surowo.

Ogarną nieraz mnie duszące fale
 zwątpień, rozpaczy nie mającej granic,
 niewiara ciężka w siebie i w swój talent
 i w to, że ludzie mają powołanie.

I duszą ma przeżyje nieraz przełom,
 i spojrzą oczy me w bezdenną jamę,
 i zauważę, nad miłości czołem
 pstrokaty kołpak błazna albo płamę.

Zmęczona nieraz w drodze mej upadnę
 przed zasłoniętym pomnikiem Izdy,
 z okrętem nieraz jeszcze pójdę na dno
 w poszukiwaniu nowej Atlantydy.

Nieraz głos jeszcze wydobędę z trudem
 i zabrzmie dziko, jakby brzmiał w pustyni,
 pomyśle; w życiu wszystko jest uludą,
 na ziemi nigdzie nie ma już świątyni.

I może czas przeklęty jeszcze nieraz
 sprowadzi mi surową śmierci marę
 i znów wypadnie wpleść się w życia kierat
 i opuszczonej wlec swe dni jak karę.

Wiem to i strasznych oczekuję nocy,
 wśród których ogień nagle się zapali,
 kuć się w nim będzie miecz potężnej mocy
 o jasnej, twardej i hartownej stali.

Gdy stałą sama stanę się w tym ogniu,
 powiecie: nowy się narodził człowiek;
 a gdy się złamię, to nie płaczcie po mnie,
 „ot, krucha była“ — niechaj każdy powie.

Maksym Ryłski

(ur. 1895)

* * *

Jabłka już dojrzały, jabłka czerwoniutki!
Idę przez sad ścieżką, trzymam cię za rękę.
Ty mnie odprowadzisz, miła, aż do pola,
ja odejdę — może już nie wrócę więcej.

Miłość też dojrzała pod promieniem ciepłym
i radosne usta chciwie ją zerwały —
teraz w sercu moim drży coś, gra i śpiewa,
jak w słonecznym blasku drży gałązka mała.

Hiej, zólcieją pola, niebo błękitnieje,
tam przy plugu oracz o czymś się zaduma...
Całuj raz ostatni, ściskaj raz ostatni:
umie się rozstawać ten, co kochać umiał.

Paweł Tyczyna

(ur. 1891)

PTASZĘTA JESZCZE...

Ptaszęta jeszcze w pieśniach swych błękitnych dzień nurzają,
Lśni jeszcze złotem fal na słońcu żyta ornat
(Wichura śpi, na harfie wiatry grają); —
A w niebie klóci się już ktoś. Zasłona chmur upiorna
Pół nieba zasłoniła. Ziemię w cień ubiera...
Jak zwierzę się chowa człek ponury.
— To idzie Pan! — pomyślał pólun teraz.
Zapłakał deszcz... i ścichł.
Dolina milczy. Milczą góry.
— To Pana cień — zaszeptał pólun teraz.

I wtem na pół zasłona się rozdarła! — Cisza święta...
Błysk ognia: zakwitł, rozpadł się — aż wody zakipiały!
I popłynęła pieśń, ofiara rozpoczęta.
Na drogach kurz, wciąż leci, leci... Wichur oszalały
Z korzeniem wierzby rwie, te modlą się we łzach.
A trawy się rozplakać nie ośmiela.
Potężna kroczy moc! I mrok. I strach...
...I we wsi słyhać dzwony.
I drżą już, i już spokój sięją
Gołębie srebrne u niebieskich bram.



NA PUSZCZY

Dramat w 3 aktach

Przełożyła prozą

MARIA BEHCZYC-RUDNICKA

Rzecz dzieje się w wieku XVII. Ryszard Iron, rzeźbiarz, który kształcił się we Włoszech i jest pełen entuzjazmu dla radosnej, humanistycznej sztuki Renesansu, przyjechał do Ameryki Północnej, do swej matki kolonistki, pragnąc poświęcić się pracy twórczej w Nowym Świecie. Spotyka się tu jednak z bezmyślnym fanatyzmem i zacieklą nienawiścią, jaką żywi dla sztuki gmina purytańska. Pomiędzy młodym artystą a obłudnym kaznodzieją Godwinsonem, przewodzącym gminie, wywiązuje się ostry konflikt. Przechodzi on w gwałtowny zatarg w chwili, kiedy starszyzna gminy znajduje w domu Ryszarda dziewczynę indiańską, która pozowała rzeźbiarzowi do posągu.

(M.B.-R.)

FRAGMENT AKTU II

Osoby występujące we fragmencie

Ryszard Iron, rzeźbiarz
Edyta, jego stara matka
Christabel, jego siostra, wdowa
Davey, jej nieletni syn
Jonathan, rzeźbiarz, kolega Ryszarda
Joshua Cambie, stary przyjaciel Ironów

Godwinson, kaznodzieja
Kaleb Paddington, senior kolonistów
Jeremiasz Ortwin,
John Mills
Matthew Fielding
Abraham Smith

} najbardziej poważani
obywatele kolonii
Massachusetts

Edyta: Ośmieliłeś się grzeszyć w naszym domu? Nie miałeśże względu na matkę i siostrę?

Ryszard: Wyjaśnię ci to wszystko, matko...

Edyta, oburzona, odwraca się od niego. Christabel, zakrywając twarz rękami, odchodzi za przepierzenie.

Godwinson: Czy godzi się nam, bracia, prowadzić z nim dalszą rozmowę? Przekonaliśmy się o wszystkim naocznie. To się zowie przyłapać na gorącym uczynku.

Abraham Smith: Istotnie!

Fielding: Niesłychany bezwstyd!

Kaleb: Ha! ha!

John Mills: Nie pozwolimy na to!

Jeremiasz Ortwin: Oczywiście!

Godwinson (biorąc ze stołu Biblię): Sądzą, bracia, że warto by przeczytać, jak postąpił Izrael z owym człowiekiem, co podobnie grzeszył z kobietą pogańską.

Ryszard: Nie wolno wam tak stawiać sprawy!

Godwinson: Widzę, że chciałby się jeszcze wyprzeć! Za kogoż on nas ma?

Abraham Smith: Za durni!

Jonathan: Ojcowie, pozwólcie mi rzec słowo.

Fielding: Jesteś jego kolegą. Wiadoma rzecz, będziesz go bronił.

Jonathan: Bylem, ojczy, zawsze posłusznym synem gminy. Kłamstwo wobec was poczytywałbym za grzech. Prawdę wyniosłem ponad przyjaźń ludzką.

Kaleb: No cóż, mów.

Jonathan: Rozmawiałem z nim o tej dziewczynie indiańskiej. Otóż zapewniał mnie, że sprowadził

ją tutaj nie dla rozpusty. Jestem przekonany, że był ze mną szczery jako kolega.

Kaleb: W jakim więc uczynił to celu?

Jonathan: Czcigodny ojczy, uważam jego cel za naganny, nie jest on jednak aż tak ohydny, jak byście mogli przypuszczać. Sprowadził tę dzikuskę, by służyła mu za wzór do posągu. W rzeczy samej, widziałem na własne oczy, jak pracował nad rzeźbą.

Godwinson: I ty nie uważasz tego celu za nikczemny? O, synu, czynić z poganki bożyszcze to ciężki grzech! Druh twój złamał jedno z głównych przykazań boskich. Kłątwa zaciąży nad potomstwem naszym w wielu pokoleniach, Pan Bóg weźmie na nas pomstę, jeśli sami nie ukaramy przestępcy. A że w dodatku poduszczał niedorostka, by kałał niewinną duszę robiąc takie plugastwo*), czy to także nie jest wielkim grzechem? Mówi wszak Pismo Święte: „kto-bykolwiek zgorszył jednego z tych maluczkich, lepiej-by mu, iżby był uwiązany młyński kamień około szyje jego, i był wrzucon w morze“.

Ryszard (z sarkazmem, wskazując na podobiznę Godwinsona): Uważasz to za bożyszcze?

Godwinson: Uważam, że rozmowa z takim zaprzęncem może skałać usta sprawiedliwego. Nie ma odpuszczenia dla tak zatwardziałego grzesznika!

Kaleb: Szusne są twoje słowa... Ale, jak to mówią ludzie: „dziesięć razy mierz, a raz krajaj“.

Jonathan: Tak jest, mój ojczy! Prawdę rzekłeś, natchnęła cię święta mądrość. Ciężkim grzechem obarczył duszę mój przyjaciel...

*) Godwinson mówi o swojej karykaturze, zrobionej przez Daveyego, siostrzeńca Ryszarda.

Ryszard (przyciska jedną ręką do piersi figurkę, którą mu się udało uratować, drugą zaś bierze dłuto i wywijając nim wola):

Odejdźcie!

(Kaleczy lekko Godwinsona, ten krzyczy jak opętany. Ze wszystkich stron rozlegają się wołania: „Oszała! Precz z nim! Na puszcze! Wypędzić go! Wypędzić!” Starszyzna, uzbrojona w kije, naciera na Ryszarda, rzucając w niego odłamki rozbitej rzeźby).

Ryszard (donośnym głosem): Milczeć, podła zgrajo! Barbarzyńcy! Sam odejdę stąd jak najdalej! Wołę od was dzikusów żyjących na puszczy! Precz mi z drogi! Bo jak nie, inaczej ją sobie utoruję! Na bok!

(Przedziera się przez tłum torując sobie długim drogę do drzwi.)

Christabel: Bracie! Opamiętaj się! Wróć, bracie! O, matko, matko!

Edyta: Wyklęty jest od Boga. Nie mam syna! A ty nie masz brata.

Davey (przepychając się przez tłum ku Ryszardowi): O, wujku, weź mnie ze sobą!

Christabel: Davey, synku mój! Zatrzymaj się! Nie odchodź! Ja umrę bez ciebie!... O, Davey!...

(Głos jej załamuje się. Christabel chwyciła się za nogi. Davey, po chwilowym wahaniu, wraca i rzuca się jej w ramiona.)

Davey: Mamo, jestem przy tobie!

(Christabel przyciska go gwałtownie do piersi. Tymczasem Ryszard, który znalazł się już przy drzwiach, otwiera je.)

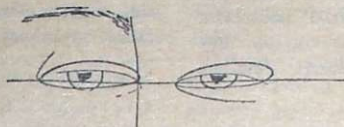
Godwinson i starszyzna: Kłątwa nad tobą!

Ryszard (odwracając się do nich, z gniewnym śmiechem): Przy was zostaną wasze kłatwy!

(Znika za drzwiami. Starszyzna odprowadza go mściwymi okrzykami, rzucając za nim drzazgi i kawały gliny.)

KONIEC AKTU II

Przełożyła Maria Bechzyce-Rudnicka



Anatol Stern

ŻYCIE PROSTSZE

Są pola, na których rosną
tajemnice Eucharystii.

Są pola, na których wiosną
wrą soki traw i liści.

Są miasta, gdzie jeszcze dymią
stosy inkwizycji.

Są miasta i ludzie bez imion,
przez miłość ukryci.

Bramy tych miast niewidzialnych
otwórzcie przede mną.

Tam słońce jak wachlarz palmy.
Tam nigdy nie jest ciemno.

O, ludzie bez imienia,
otwórzcie pierś swą na rozcieś!...
Wychodzą z błękitnego cienia,
są już nad rzeką, na moście.

Chcę, by mnie miłość od nowa
przeorała jak traktor.

Cóż mi da Bank Narodowy?
Tyleż, co „Spirito Santo“ *).

Siądźmy w tej trattorii.
Może się coś przekabaci.
Złoci się uśmiech Maryi,
piją obok nas akrobaci.

Do chłopca w brudnej koszuli
w paski pąsowe i modre
wołyżerka namiętnie się tuli,
przyciska się mocno biodrem.

Dajcie fiasco di vino rosso:
zostaniemy do rana z nimi.
A potem pójdziemy boso
po ziemi, co snami dymi.

Anatol Stern

* Bank papieski w Rzymie pod wezwaniem Świętego Ducha.

POCAŁUNEK

Na imieniny Bolka zeszli się sami koledzy. Zjedli, wypili i pogadywali: o wszystkim. Długo bardzo, jak na czysto męskie towarzystwo, rozmowa nie schodziła na kobiety. Doszło do tego dopiero przy bruderszafcie Władka z Heńkiem. Henio skarżył się na klującą brodę Władka. — Trudno, nie jestem dziewczyną. Nie wymagaj ode mnie miękkiego i pachnącego pysia, — zaśmiał się Władek. Wtedy zaczęła się ta rozmowa. Jedni byli zwolennikami właśnie miękkiego pysia z dołeczkami, inni woleli jędrne policzki. Julek opowiadał o dziewczynie, która szeroko otwierała oczy przy pocałunku. — Dziwne, mruknął Bolek, przecież zawsze zamykają. — No właśnie, a ta nie. Ale fajna była dziewczyna. Potem chciałem dowiedzieć, że język nie jest potrzebny do całowania. Inni uważali, że daje on połowę smaku. I tak sobie dyskutowali. Byli zwolennicy pocałunków na ławeczce w ogrodzie, byli zwolennicy w pokoju, jedni, jak Henio, woleli długo i mocno, inni, jak Władek, szybko i siarczyście. Bolek najbardziej lubi delikatnie i często. Romek mówił, że najprzyjemniej całować się na mrozie, ale inni nie chcieli się z nim zgodzić. — A ty jak lubisz? spytał miłczącego dotąd Bohdana. — Ja właściwie nie lubię w ogóle. — Jakto? krzyknęli zgodnym chórem. — A zwyczajnie, nie lubię. Może dlatego, że nie miałem szczęścia do całowania. Chcecie posłuchać? — Oczywiście, mów, zachęciło kilka głosów. — No po prostu nie miałem szczęścia. Od początku.

— Dawno już był ten początek. Byłem czternastoletnim smarkaczem. Chodziłem do tak zwanego zaprzyjawnionego domu. Była tam Janeczka, ładna dziewczynka, starsza ode mnie. Podołała mi się. I ją chyba bawiło moje przewracanie oczyma. Kiedyś, na jej imieninach siedzieliśmy obok siebie na kanapie. Koleżanki różnymi aluzjami robiły z nas zakochaną parę. Nastrój był romantycznie niewyraźny. W pewnej chwili zostaliśmy sami w pokoju. Położyła mi rękę na ramieniu. Szybko pocałowałem ją dwa razy w policzek. Objęła mnie za szyję, zaraz potem odepchnęła. Szeroko otworzyła zielone oczy. Zaczęła trząść się cała i prędko oddychać. Musiała wtedy chyba ładnie wyglądać, ale ja tego nie zauważyłem. Byłem okropnie wystraszony. Co ci, co ci? bąkałem. Ona drżała dalej i z trudem łapała powietrze. Nie wiedziałem, co robić. Mówić coś? czy przynieść wody? Zdawało mi się, że dzieje się jakieś nieszczęście, że jej zrobiłem krzywdę. Uwierzyłbym chyba, gdyby powiedziała, że zaszła w tej chwili w ciążę. Zaraz potem wróciły koleżanki i zaczęły się głupie uśmiechy i domyślne powiedzonka. Odeszła mi na jakiś czas chęć do całowania. Od tego dnia rzadziej też bywałem u Janki. Jasne, że sytuacja się nie powtórzyła.

Drugi raz było że dwa lata później. W tej dziewczynie to już się chyba naprawdę zakochałem. Była interesująca i niebrzydka. To miało urok pierwszej miłości. Zналиśmy się z rok, często chodziliśmy razem. Uważano nas za parę. Doszedłem do wniosku, tak, właśnie wymyśliłem to, że pora się już pocałować. Nie chciałem uchodzić za fajtlapę. Zresztą miałem i prawdziwą ochotę na to całowanie. Tylko, że po tamtym pierwszym, nie wiedziałem, jak się do tego zabrać. Siedzieliśmy kiedyś w ogrodzie, spojrzalem na jej różowy policzek, przez myśl przemknęło: teraz! i pocałowałem ją gdzieś koło nosa. Odwróciła się do mnie i zaczęła patrzeć uważnie. Znow nie wiedziałem, co robić. Powtórzyć ani poprawić nie mogłem, bo siedziała zbyt daleko. Zaczęłem coś bełkotać. Ze mi tak dobrze, że przepraszam, że chyba i ona... Wszystko naraz. Machnęła ręką z niecierpliwością. Przemilczeliśmy dłuższą chwilę. Po ścieżce pełzała dżdżownica. Obserwowałem, jak się zwiija i rozpręża, i sam czulem się jakiś taki pokureczony. Potem dziewczyna wstała: pójdziemy już do domu, odezwała się zwykłym tonem. Po drodze prowadziła rozmowę na jakies tam inne tematy. Wieczorem, pierwszy raz w życiu, nie mogłem zasnąć. Zależało mi na niej, nie chciałem jej tracić. Doszedłem do wniosku, że jestem idiota, że ją zniechęciłem, że nie trzeba się było śpieszyć. Potem znow do rozpaczy doprowadziła mnie myśl, że pewnie już całowała się z innymi i tylko ubawiła ją moja nieudolność. Szybko odrzuciłem tę możliwość. Układałem całe przemówienia, które do niej wygłoszę. O tym, że nie chciałem jej urazić, że zapomnimy o wczorajszym dniu, że nasza przyjaźń... Kiedy na drugi dzień ze wzruszeniem rozpocząłem rozmowę od tego, że wczoraj była taka jakaś..., że się pewnie gniewa..., przerwała mi najwzyczajniejszym tonem. — Ależ nie, Bohdan. Ja się tylko tak jakoś.. zdziwiłam. Zdziwiła się, uważacie. Oczywiście diabli wzięli moje przemówienie.

Jakiś czas nie miałem chęci do całowania, aż kiedyś znow chciałem spróbować. Właśnie nie z kimś, na kim mi zależy, ale ot tak, żeby się wreszcie nauczyć. Na jakimś przyjęciu, z rok przed maturą, towarzystwo bawiło się w listonosza. Przy jakiejś niebrzydkiej koleżance wybrałem czerwony znaczek i wśród oklasków wyszliśmy do drugiego pokoju. Żeby nie powtarzać dawnych błędów wzięłem ją za głowę i szybko pocałowałem wysunięte ku mnie wargi. Zaraz wróciliśmy do reszty gości. Z pocałunku pozostał mi smak bardzo pachnącego kremu, który jadła przed zabawą. I to całe wrażenie. Krem był migdałowy.

No, a najgorzej to już było z tym następnym. Postanowiłem nie bawić się w byle co, ale od razu być mężczyzną. Zresztą niepokojące i zenują-

ce było nawet, że tyłu kolegów już, a ja jeszcze wcale. To była zwyczajna dziewczka. Chociaż nadrabiałem miną, poznała, że ma do czynienia z nowicjuszem. Chciała mnie ośmielić i pocałowała mocno w usta. Buchnęła na mnie opar trawionego alkoholu. Coś wstrętnego. Uciekłem z miejsca.

Tak, teraz chyba was nie dziwi, że nie lubię się całować. Widocznie dlatego, że tak się z początku nie udawało. Po prostu pocałunek to dla mnie nie przyjemność, najwyżej konieczny wstęp do dalszego ciągu.

Pomilczał chwilę i znow zaczął rozpamiętywać. — Taak, nie miałem szczęścia do pocałunków. W ogóle nie miewam szczęścia do różnych rzeczy. Na przykład także do śmierci. — Przecież żyjesz, wtrcił wesoło Władek. — Nie o to chodzi. Chodzi o to, że i śmierci, oczywiście cudzej, też nie umiem przeżyć, jak należy. Pierwszy raz zetknąłem się z tym przy walkach w moim mieście. W chwili względnej ciszy przed naszym domem zebrała się grupka Niemców. Wyglądaliśmy dyskretnie przez okno. Wtem zaczęto strzelać. Na ulicy wybuchł pocisk. Jeden z żołnierzy dostał odłamkiem w brzuch. Upadł na wznak, wierzał nogami, podskakiwał, wychodziła z niego czerwono-brunatna masa. Zwymiotował. I wtedy i do tej pory, gdy to wspominam, nie umiem myśleć, ani że jednego mniej, ani że człowiek cierpiał, ani że wojna straszna. Robi mi się tylko mdło.

Podobnie ze śmiercią ojca. W rok po wojnie dostałem wiadomość, że umiera na Śląsku. Jechałem z wielkim niepokojem, kochałem go bardzo, myślałem, jakim przeżyciem będzie dla mnie jego śmierć. Począta i komunikacja jeszcze wtedy szwankowały. Przyjechałem trzy dni po zgonie. Czekano na mnie z pogrzebem. Gdy wszedłem do pokoju, uderzył mnie przede wszystkim okropny zaduch. Wtedy pomyślałem nawet: smród. Pod jego wrażeniem zęgnąłem ojca. Nic wzniosłego, nie głębokiego w tej śmierci nie znalazłem. Do dzisiaj ta nieudana śmierć psuje mi jego wspomnienie.

Miałem przyjaciela, który długo umierał na raka. Często go odwiedzałem. Wiedzieliśmy obaj, że umrze. Przyzwyczailem się już do tej myśli. Jednak, kiedy lekarz oświadczył mi, że to już ostatni dzień, zrozumiałem, że rozstanie będzie dla mnie ciosem, chociaż pogodziłem się z koniecznością od dawna. Chciałem z nim jeszcze dużo rozmawiać, coś dla niego zrobić, pomóc mu jakoś, czy co. Ze strachem czekałem momentu, w którym nie odezwie się do mnie. Umarł w nocy. Rano zauważyłem przede wszystkim jego wyciągnięty, głupio wyciągnięty — pomyślałem wtedy, nos. Po chwili uczulem ulgę, że to już. I to wszystko.

Bohdan zasiadł się głębiej w fotelu i pociągnął wina. Nikt się nie odzywał. Wszyscy wyczuli, że ma coś jeszcze do powiedzenia.

— Wiecie, ciągnął po krótkiej przerwie, była u nas w stoczni przed rokiem dziewczyna. Technik z nakazu pracy. Jakaś taka nie z tego świata. Wszystko brała poważnie i jednocześnie z zapalem. Aktywistka. Jednak wszyscy ją lubili. Taka, wiecie, dodatnia odmiana aktywisty. Lubiliśmy ją chyba dlatego, że nie tylko gadała, ale też i pracowała. I to przeważnie dobrze. Zauważyłem tylko, że czasem oczy jej robiły się takie dziwne, jak rozmodlone, i wtedy robota rozlażyla się dziewczynie w rękach. Drażniło mnie to nawet trochę. Ale nigdy nie trwało dłużej niż dwa-trzy dni. Potem wracała do dobrej normy.

Kiedy zdarzyła się awaria — urwanie bloku — trafiło to i na nią. Miała zgniecioną nogę i, co gorsza, jakieś wewnętrzne wylewy. Leżała w naszym szpitalu. Odwiedzaliśmy ją często. Można było podziwiać jej pogodę i spokój. Śmiała się razem z nami, interesowała się nadal, jak idzie robota. Kiedyś poprosiła mnie, żebym jej trochę poczytał. Odtąd codziennie zaglądałem do separatu, w której leżała. Wybierałem różne książki, ale najchętniej słuchała „Reportażu spod szubienicy“. Jeden fragment specjalnie przypadł jej do gustu. Kazała go sobie czytać kilka razy. Ten, gdzie czekający na śmierć kończy swój list: ludzie, kochałem was, bądźcie czujni! Ciągłe powtarzała te słowa. Odnosiła je jakoś do siebie i nie dała sobie wytłumaczyć, ani że z nią nie jest tak źle, ani też, że Fućik myślał o czymś innym niż bezpieczeństwo i higiena pracy. Uparcie często uśmiechała się do mnie i powtarzała: ludzie, kochałem was, bądźcie czujni.

Raz, gdy skończyłem czytanie, kazała poprawić sobie poduszki. Pochyliłem się nad nią i wtedy zarzuciła mi ręce na szyję. Siadłem na koldrze i oddałem pocałunek. Nic nie powiedziała. Ja także milczałem. Tylko w niebieskich oczach zobaczyłem znow to rozmarzenie, które mnie dawniej irytowało. Potem całowaliśmy się delikatnie, ostrożnie, raz za razem, jak lubi Bolek. Potem całowałem jeszcze oczy. Wreszcie raz bardzo i bardzo długo w usta, jak woli Henio. Objąłem ją przy tym z całej siły. Ciekawe, kto z nas pierwszy zauważył, że umarła. Myślę, że ona. Ja spostrzegłem to dopiero, gdy usta były całkiem zimne. I to, wiecie, był jedyny mój udany pocałunek. To była też jedyna bezpośrednio odczuta śmierć. Tak, ten jeden raz jakoś to wyszło. Jednak nadal nie lubię się całować. — A i śmierci też nie lubię, dodał po chwili.

Bohdan skończył. Pożegnaliśmy gospodarza. Było już późno.

Stawomir Sobocki

ZE WSPOMNIENIŃ O EMILU ZEGADŁOWICZU

Myśl wydawania o własnych siłach pisma, poświęconego literaturze i sztuce, zaczęła kielkować w nas trzech, Janie Nepomucenie Millerze, Emilu Zegadłowiczu i we mnie, już w pierwszych miesiącach 1921 r. Powstanie „Ponowy”, której pierwszy numer ukazał się w maju owego 1921 roku, do czego walnie przyczyniła się nasza trójka, nie wpłynęło bynajmniej hamująco na zamysły nasze, przeciwnie, dodało bodźca i to do tego stopnia, że przed rozjechaniem się na wypoczynek letni ustaliliśmy już tytuł pisma i w najogólniejszym rzucie zarys programowy. Pismo zostało ochrzczone — na wniosek Zegadłowicza — mianem „Czartaka”, tak bowiem zwał się budynek z kamie-



Podobizna Emila Zegadłowicza
wg drzeworytu Ludwika Miskiego.

nia w stylu romańskim, wniesiony w XVII wieku w Mucharzu, miejscowości położonej między Wadowicami a Suchą w Beskidzie, gdzie pono odbywały się nabożeństwa arian, skazanych przez sejm na wygnanie z Polski. Nie to wszakże było powodem, by zapożyczać nazwę dla pisma z jakiegoś budynku sprzed trzystu lat, ale chęć zadokumentowania powiązania z ideologią arian, którzy w owych oddalonych czasach wyznawali radykalne poglądy społeczne, zwalczając niewolę chłopów, przeciwstawiając się przemocy człowieka nad człowiekiem oraz potępiając wojnę i karę śmierci.

Po powrocie z wakacji, mniej więcej w połowie września, przystąpiliśmy do dalszych rozmów na temat organizacji pisma. Zdawaliśmy sobie sprawę z trudności piętujących się przed nami, zarówno jeśli szło o ustalenie punktów programu, jak i zespołu współpracowników. Mieliliśmy przedsmak tych kłopotów jeszcze w okresie przedwakacyjnym, gdyśmy próbowali ustalać wytyczne manifestu poetyckiego. Co do współpracowników, można było ostatecznie pójść śladami świętego publicysty, Leo Belmonta, który w latach, 1907—1913 redagował w Warszawie „Wolne Słowo”, wypełniając niektóre numery własnymi wyłącznie publikacjami, poczynając do artykułów wstępnych a skończywszy na wierszach, podpisywanych najróżnorodniejszymi nazwiskami.

Jak było do przewidzenia, najwięcej dyskusji i sporów powstało przy ustalaniu tekstu słowa programowego. Zużyło się na to parę posiedzeń, wypełnionych naradami, ścieraniem się poglądów i w rezultacie góra urodziła mysz. Najwięcej danych na teoretyka ideologicznego posiadał Jan Nepomucen Miller zarówno dzięki rozległej wiedzy o literaturze, jak i gruntownemu przygotowaniu filozoficznemu. Piętą achillesową Millera był jego styl pisarski, nazbyt odświętny i górnołotny ze skłonnością do stosowania długich okresów — styl nie oddziałujący na czytelnika bezpośrednio i stwarzający przeszkody nie do przewyciężenia między autorem a czytelnikiem. Zdawaliśmy sobie z tego sprawę, niemniej sądziliśmy, że z czasem Miller wyplące się z tego zawilego sposobu budowania zdań i wejdzie na drogę jasnego formułowania myśli. Wszak w jednym z artykułów teoretycznych, opublikowanych w „Ponowie”, odwoływał się do pieśni ludowej, która miała stać się zapoczątkowaniem nowego stylu poetyckiego. Z tych względów, mając w pamięci niedawne jeszcze wypowiedzi Millera, mogliśmy przypuszczać, że przemiany, którym podlegał, począwszy od poetyckich pierwocin w duchu hellenistycznego klasycyzmu aż po ludowość dadaistyczną, której hołdował w ostatnich wierszach swoich, nadadzą mowie jego celność, jasność, prostotę i powrócą go z czasem „na ojczyzny łono”. Toteż po „długich, nocnych rodaków rozmowach” powierzyliśmy Millerowi napisanie słowa wstępnego, nie ograniczając go rozmiarami wypowiedzi, ani krępując w sposobie rozwijania myśli. Miller w tym czasie zerkał z lekka w stronę dobytego z lamusa pamiętek po Stanisławie Brzozowskim uniwersalizmu, któremu, jak wiadomo, później zaczął hołdować, przykrawając go odpowiednio do potrzeb chwili i uzupełniając wkładem własnych przemyśleń. W brulionie tego słowa wstępnego, który otrzymaliśmy w parę dni potem, tkwiła już zapowiedź wylaniającego się z mglawicy rozważań uniwersalizmu, aczkolwiek po-

dana w sposób nieśmiały, w daleko posuniętych niedomówieniach.

Wypowiedź Millera nie była ani dobra, ani zła i ostatecznie, gdyby poszła w tej formie pierwotnej, nie nastąpiłyby zastrzeżenia. Ale Zegadłowicz uzupełnił ją maksymami w duchu typowo młodopolskim, jak: „z bezdróży wyszedłszy — w bezdroża wiedzy“, „smętna jak tęsknica — zmienna jak pogoda“ oraz łańcuchami okresów, jak np. „zbył lekliwych stąpań, niechaj zatętni gromko krok — niechaj zwichrzy się głęb — niechaj zadrży wyż — zakłęte w sen“. Takimi ozdóbkami obwiesiwszy wypowiedź Millera, bez jakiegokolwiek porozumienia się z nami wydrukował ją Zegadłowicz w tym pierwszym numerze „Czartaka“. Ale o tym później.

Zegadłowicz w omawianym okresie był poetą o wątlm kośćcu ideowym, łatwo ulegał wpływowi i każda książka, która wywarła na nim jakieś takie wrażenie, znajdowała odbicie w jego twórczości. Warto sobie uprzytomnić, że gdy brał pióro do ręki, „Młoda Polska“ święciła swoje wielkie triumfy, a gdy zaczął publikować swe utwory, „Młoda Polska“ kończyła swój krótkotrwały żywot. Pozostał w nim osad po owych czasach, w których uczył się poezji, a ponieważ nie czuł się na siłach, aby pójść własną drogą, przystał do ekspresjonistycznego „Zdroju“ i stał się wyznawcą nowego kierunku. Coctail młodopolszczyzny i ekspresjonizmu musuje w każdym jego utworze z tamtego okresu. Nie to wszakże obciąża Zegadłowicza, ale to wzrastające w nim przeświadczenie, że jest pomazańcem muz i ma do spełnienia misję niemal historyczną. Urobiwszy o sobie takie mniemanie, Zegadłowicz uważał, że nie ma potrzeby działać kolegiąlnie, że wolno mu postępować według własnego widzi mi się. Dlatego to artykuł programowy, na który kładliśmy tak wielki nacisk, a który byłby niewątpliwie do przelknięcia w wersji Millera, stał się po samowolnie dokonanych przez Zegadłowicza włączeniach doń dopisków własnych, artykułem chybionym, niczym nieumotywowanym. Po tylu długich, ciągnących się nieraz w noc rozmowach, w czasie których krzyżowały się nasze poglądy, jak szpady zawodników, nie potrafiliśmy zdobyć się na jakąś sensowną wypowiedź i nie jest żadną przesadą twierdzenie, które pozwoliłem sobie postawić, że góra urodziła myśl.

Pewnego listopadowego dnia Zegadłowicz oświadczył nam z tajemniczą miną, okraszoną filuternym, sobie właściwym uśmiechem, że rzuca Ministerstwo Sztuki i Kultury i przenosi się na stałe do siebie, do Gorzenia Górnego. Byliśmy trochę zaskoczeni tą decyzją, zważywszy, że paraliżowała ona cały szereg naszych planów. Zapytany przeze mnie, odpowiedział Zegadłowicz, że nie ma zamiaru rezygnować z prac rozpoczętych wspólnie z nami, że „Czartak“ powinien wychodzić jako periodyk i że wszystkie książki, jakie zamierzamy wydać teraz i w przyszłości, powinny być opatrzone firmą wydawniczą „Czartaka“.

— Grunt pali mi się pod nogami — dodał — nie mogę tu dalej siedzieć... Chcę pisać, a tu nie ma warunków po temu...

— A z czego będziesz żył? — padło pytanie z mojej strony.

— Uruchoamię w Gorzeniu kilimiarnię! Sprawa zdecydowana! Tymczasem zbierajmy materiały do „Czartaka“! — brzmiała odpowiedź.

Zajęliśmy się więc zbieraniem materiałów. Niezadługo znajdowały się już w teczce redakcyjnej wiersze i poematy Leśmiana, Miłaszewskiego, Millera, Zegadłowicza i moje. Pisało się w pośpiechu recenzje z książek, bo dział sprawozdawczy miał być rozbudowany szeroko. Nie szczędzono ciętości języka w wypadach polemicznych, atakując ostro „Przegląd Warszawski“ i Grydzewskiego ze „Skamandra“. Ponieważ zapotrzebowanie na prozę krytyczną było duże, napisałem jeszcze do Stanisława Ignacego Witkiewicza, z którym byłem w bliskim kontakcie, molestując go o artykuł.

W połowie grudnia Zegadłowicz wyjechał do Gorzenia, zabrawszy wszystkie materiały, jakie udało się nam zgromadzić. Od Witkiewicza nie było wiadomości. Napisałem raz jeszcze, prosząc, aby artykuł przesłał bezpośrednio na ręce Zegadłowicza. Miller też zwlekał z dostarczeniem sprawozdań, ale przyciśnięty przyrzekł solennie, że tym razem bez zawodu, zaraz po świętach Bożego Narodzenia, cały materiał prześle wprost do drukarni.

Po wyjeździe Zegadłowicza zapanowała markotna cisza. Długo nie było od niego wiadomości. Zachodziliśmy w głowę, jakie stanowisko zajmie Foltin wobec mało nęcącej propozycji z naszej strony: drukowania pisma na kredyt, bez jakiegokolwiek zaliczki.

Po dwóch tygodniach milczenia nadszedł list od Zegadłowicza i rozproszył mgłę niepewności, jaka zaczęła się w nas gromadzić. Była w nim pocieszająca wiadomość, że Foltin przystał na naszą propozycję i zgodził się drukować „Czartaka“ bez oglądania się na zaliczkę. Nie pisał Zegadłowicz, na jakich warunkach podjął się druku pisma ów ryzykancki typograf z Wadowic, natomiast dał upust nurtującemu go optymizmowi na temat przygotowywanego do druku numeru. „Czartak“ będzie „klasa“ — wywnętrzał się swoim rzeczom — „byłe wyście nie skrewili“. Nie obojętne się rżecz prosta i bez inwokacji, jak przystało na napoleońskiego piechura, któremu roilo się, że dźwiga w tornistrze buławę marszałka. „Wyteżyć siły — wota! — zapatu! wiary! skupienia!“ Wreszcie w zakończeniu listu taka konkluzja, która wydała nam się wtedy nie tylko zbyt śmiała, ale i mocno przesadzona: „Czartak“ skupia Cezarów i ich losy — jako piorun jego ramię“. Nie biorąc na serio tych opinii Zegadłowicza o pierwszym numerze pisma, który miał nas wprowadzić na targowisko literackie, byliśmy na razie zadowoleni i radzi, że rojenia nasze wchodzą w stadium realizacji.

Po upływie dwóch tygodni otrzymałem od Zegadłowicza nowe pismo, w którym zdawał nam relację z postępujących prac nad „Czartakiem“, a wśród tych

wyrzuconych w ferworze zdań jedno zdanie, świadczące o nagłym ocknieniu się z mgławicy majaków, w których był pogrążony. Z listu tego cytuję odnośnie ustępy tak charakterystyczne dla mentalności Zegadłowicza. „Haruję jak bury pies; artykuł Witkiewicza jest. Nie przyjadę bez próbnego zeszytu — więc czwartek, piątek. Numer okrutnie bogaty — treściwy. Przygotujcie materiał do drugiego zeszytu!!! Skąd my weźmiemy pieniądze za pierwszy? Róbcie reklamę — żeby pierwszy zeszyt szybko poszedł — pieniądze — pieniądze — pieniądze! Wierząc, „Czartak“ jest pierwszorzędnym piśm. m. Wszczęć świat czeka! Wieczność całą na takie pismo“. Uśmiechnęliśmy się do siebie z Millerem, jako że znaleźliśmy już od tej strony Zegadłowicza i nie obca nam była przesada, z jaką zwykł wyrażać się o sprawach większej czy mniejszej wagi. Superlatywy, którymi szafował tak rozrzućnie, miały na celu przygotować grunt na przyjęcie pisma i utwierdzić nas w przeświadczeniu, że numer jest istotnie pod każdym względem bezkonkurencyjny.

Tym razem Zegadłowicz dotrzymał słowa i zjawił się w Warszawie w oznaczonym terminie z numerem „Czartaka“ pod pachą. Powitaniami nie było końca, jak przystało na towarzyszy broni. Gdy ustąpiły pierwsze wrażenia, jak fale morskie z brzegu po przyplwywie, i zaczęliśmy wertować stronę po stronie numer pisma, ognie przeszły nas z początku, a potem zmarłowaliśmy dla odmiany, zaskoczeni posunięciami Zegadłowicza, który samowolnie, bez uzgodnienia z nami, powprowadzał różne innowacje. Największą niespodzianką stało się dla nas słowo redakcyjne, które straciło swój pierwotny charakter przez wprowadzenie licznych uzupełnień i dopisków pióra Zegadłowicza. Byliśmy zaskoczeni tą powodzią słów bez treści, ot, jakby otworzono krany i kurki i pozwolono wodzie płynąć bez ograniczenia. „Teraz, gdy ciężka nas przygoda bodzie, trudno już mamy pływać przeciw wodzie“, jak rzekł Wojciech Chrościński, znakomity poeta czasów saskich. Ale nie koniec na tym. Nie wiedzieć gwoli czemu, umieścił Zegadłowicz na stronie trzeciej „Czartaka“ u samej góry, obok daty, inicjały odnoszące się do numeru i roku wydawnictwa w ten sposób, że z lewej strony widniał wielkimi literami skrót „I. N.“, co miało oznaczać Nr pierwszy, a z prawej strony „R. I.“, jako skrót roku pierwszego. Litery zostały tak rozmieszczone, aby razem dać skrót napisu umieszczonego przez Piłata na krzyżu, na którym umierał Chrystus: I.N.R.I. (Jesus Nazarenus Rex Judaeorum). Szeroko i zawile tłumaczył się przed nami, że mu tak przypadkowo w korekcie wypadło, a ponieważ uznał to za zrządzenie opatrności czy losu — „tłumaczcie sobie, jak chcecie“ — dodał — więc pozostawił ten skrót bez zmiany, jak wyszło w układzie zecerskim. Wiele jeszcze nasunęło się nam uwag z powodu przesadnych superlatywów, stosowanych gęsto przez Zegadłowicza w dziale opatrzonym tytułem; „Krytyki. Refleksje. Rzuty“. Ugiął się trochę Zegadłowicz pod ciężarem zarzutów, któreśmy z miejsca postawili, tłumaczył się, jak mógł, na różne spo-

soeby, a gdyśmy zażądali usunięcia ze słowa redakcyjnego poczynionych przez niego dopisków, okazało się, że przyjechał do Warszawy nie z żadnym numerem próbnym, ale po prostu z numerem okazowym, gdyż cały nakład „Czartaka“ został już wydrukowany. Tym razem z kolei myśmy ugięli się pod ciężarem zasłyszanej wieści, która spała na nas pokąznym ładunkiem nieodwracalnego faktu. Nie było żadnego wyjścia z tej matni. Drukować zamiennych stron nie było za co i tak przyszedł na świat niewydarzony twór, któremu wypadło nam ojcować.

Następnego dnia odbyliśmy z Zegadłowiczem dłuższą rozmowę, w której wytknęliśmy mu samowolę i poczynania, świadczące o jego nieodpowiedzialności, przedstawiliśmy wszystkie pro i contra wynikające z naszego współżycia i po debacie doszliśmy do wniosku, że kontynuowanie współpracy staje się niemożliwością. Zegadłowicz wił się jak piskorz, wyciągając z zanadru argument za argumentem i tłumacząc postępowanie swoje najlepszymi chęciami i dobrem sprawy. Byliśmy niewzruszeni. Odpowiedzieliśmy, że dobrymi chęciami piekło wybrukowano, a dobro sprawy wymagało kolegierności i wspólnego przedyskutowania jego pomysłów. Ponieważ zapowiedź o mającym się ukazać numerze „Czartaka“ została podana w prasie, a nie mieliśmy funduszy, aby pozwolić sobie na zniszczenie całego nakładu numeru i wydrukowanie nowego, postanowiliśmy ten tak niefortunnie odbity numer oddać do sprzedaży i niech się dzieje wola boża. Nie mogliśmy zresztą postąpić inaczej, bo podejrzewaliśmy, że pewna ilość numeru została już przez Zegadłowicza rozprowadzona wśród najbliższych znajomych jego i decyzja zniszczenia pisma nie zostanie właściwie zrealizowana. Jak się później okazało, przewidywania nasze były słuszne, bo Zegadłowicz istotnie zdążył jeszcze przed wyjazdem do Warszawy rzucić na Kraków ponad trzydzieści egzemplarzy i w ten sposób postawił nas właściwie wobec faktu dokonanego.

W parę dni później Zegadłowicz opuścił Warszawę i udał się do Gorzenia. Przez długi czas nie było od niego żadnych wiadomości. Dopiero w drugiej połowie kwietnia 1922 roku nadszedł list, w którym znalazł się następujący ustęp: „W sprawie „Czartaka“ pisałem do Nepa rozwekle — przeczytajże ten list i oszczędźcie, jak uważacie. Likwidacja „Czartaka“ jest niemożliwa; drugi numer musi wyjść. W liście do Nepa wyluszczyłem wszystko — tu jeszcze dodam, że należy wydawać pismo choćby w długich odstępach czasu — w tym duchu, aby przy sprzyjających koniunkturach — kontynuować normalnym trybem; proszę Cię, bardzo proszę — rozważcie z Nepem całą sprawę — omówcie moje wywody i odpiszcie“.

W parę dni po tym liście otrzymałem drugi, który zawierał taki passus: „Krótko powiem: moje (z ewentualnymi pozorami źle tłumaczące się) postępowanie nigdy nie miało w sobie cech nadwężających nasze stowarzyszenie; zaklinam Cię, chciej mnie zrozumieć!“ I dalej: „Wydanie II-go Nr „Czartaka“ wydaje mi się koniecznością. Pertraktacje po-

myślne z Foltinem załatwię — tylko na miły Bóg —
daj definitywnie znać, czy zgoda wasza na to jest.
„Czartak“ musi wyjść“.

Od czasu do czasu spotykaliśmy się z Millerem i za-
stanawialiśmy się, co począć, na ogół bowiem „Czar-
tak“ doznał życzliwego przyjęcia. Medytowaliśmy po-
ważnie, czy nie powrócić do koncepcji wydawania
„Czartaka“, nałożywszy na Zegadłowicza ostre węd-
zidła dla pohamowania drzemających w nim zapę-
dów na dyktatora. Przewidując zmianę naszego sta-
nowiska, próbowałem nawiązać kontakty z pisarza-
mi, którzy byli nam bliscy z punktu widzenia ideowe-
go, jak również z temperamentu artystycznego.

Tymczasem w połowie maja Zegadłowicz doniósł,
że „pertraktacje z Foltinem przeprowadził z ujemnym
skutkiem“. „Mam w rękę — pisał — oficjalny list
jego (z dn. 13 bm.), w którym „z ubolewaniem stwier-
dza, że przed zaplaceniem I. Nr — nie może się pod-

jąć druku II-go. Natomiast zaczeka jeszcze na pozostaną sumę“. „Oczekuję od w rezolucji: 1) Czy „Czartak“ istnieje (dopiero 5-ty miesiąc tego roku — jeszcze jest sezon jesienny), 2) czy książka Nepa wyjdzie pod firmą „Czartaka“, — 3) czy mam „Dziwan-ny“ wydać z firmą „Czartaka“? Moje zdanie: tak (— trzy razy)“

Ostatni list Zegadłowicza skłonił nas do ponownego przedyskutowania spraw w nim poruszonych i po długich debatach doszliśmy do zgodnego wniosku (jako że w maju innymi oczami spogląda się na rzeczywistość!), iż właściwie nie ma o co kopiać kruszyć i w rezultacie podzieliliśmy pogląd Zegadłowicza we wszystkich sprawach. Podałem mu to do wiadomości, a przy okazji doniosłem, że prawdopodobnie w sierpniu zjadę do Gorzenia i wszystko omówię osobiście.

Edward Kozikowski

J. W. Goethe

Z CYKLU „CHIŃSKO-NIEMIECKIE PORY ROKU I DNIA“

Przełożył STEFAN ZARĘBSKI

*
* * *

Kukułcza i słowicza brać
Nie może się rozstać z wiosną,
Lecz lata piętno już wszędzie znać —
Pokrzywy, osty rosną.

I ja odczułem jego ślad:
Listowia zgęstniał wieniec,
Przez który-m widok luby kradł,
Miłosne śląc spojrzenie.

Nie ujrzę tam już, jako wprzód,
Barwnego dachu, okien:
Lecz wciąż w tę stronę — to mój wschód! —
Stęsknionym dążę wzrokiem...

*
* * *

Zmierch otula ziemię zwolna,
Więdną kształty w mrocznym tle,
Oto gwiazda już wieczorna
Pierwszą z góry rzuca skrę!
Wszystko chwieje się i gubi,
Pełzną niebem ciemne mgły,
Czarne głębin znacząc smugi
Cichym snem jezioro śpi.

Tam od wschodu gdzieś migocze
Blask miesięczny — pełga dal...
Na wysmukłych wierzb warkocze
Przypływ prysł igraszka fa!
I poświata Luny błada
Mży skroś cieni zwiewną sieć:
A przez oczy chłód się wkrada,
By na sercu ciszą lec...

Przełożył Stefan Zarębski

PROFILE LUBELSKICH TWÓRCÓW

Kronikarz ze Szczebrzeszyna – Dr Zygmunt Klukowski

W pięknym reportażu publicystycznym w wydanym ostatnio zbiorze artykułów „Kłosa na ściernisku” wybitny pisarz polski Jan Wiktor nazwał dr Zygmunta Klukowskiego Kronikarzem ze Szczebrzeszyna. Ta trafna metafora nie odzwierciedla jednak tego wszytkiego, czym charakteryzuje się bogata osobowość jej nosiciela. O dr Klukowskim należałoby bowiem



napisać cykl artykułów jako o lekarzu, społeczniku, działaczu kulturalnym, bibliofilu, historyku, kronikarzu. Przez 37 lat swej działalności na Zamojszczyźnie wpisał on do historii tej ziemi wiele pięknych kart.

Doktor Zygmunt Klukowski jest postacią, która w równej mierze zainteresować by mogła historyka co socjologa. Socjologa dlatego, że w toczącej się dyskusji o roli inteligencji w małych ośrodkach jest on widomym symbolem zwycięstwa woli i sumienia nad marazmem prowincji, który „pożera” wciąż jeszcze wiele cennych charakterów.

Trzydzieści siedem lat temu przybył on jako młody lekarz do małego miasteczka pogrążonego w zacofanym kulturalnie bezmiarze Polski „B”. Szczupła grupka inteligencji szczebrzeszyńskiej tworzyła towarzyskie getto, znajdując jedyną rozrywkę w grze w karty i wzajemnych wizytach. Gdzie znalazł wówczas ten młody człowiek źródła wewnętrzne inspiracji, która nie pozwoliła mu zszarzeć w tym otoczeniu — to problem wyjątkowo frapujący. Prawdopodobnie zdecydowała tu słabość do historii. Związał się bowiem wkrótce z Instytutem Historii Medycyny, kierowanym mądrze przez dr Wrzoska. W organie tego Towarzystwa ukazały się jego pierwsze prace: o organizacji pomocy lekarskiej w ordynacji nie-

świeżkiej (1925), a następnie cykl artykułów o organizacji służby lekarskiej w powstaniach narodowych w XIX w. Studia historyczne przerażają się wkrótce w wielką pasję lekarza-społecznika. Jaką siłę woli musiał posiadać młody lekarz, aby po całodziennym trudzie w prymitywnych warunkach zasiąść wieczorem przy biurku i przebijać się przez trudną nawet dla fachowca analizę źródeł historycznych. Rok za rokiem powstają nowe prace. Rozszerza się ich zakres tematyczny: o dżumie w Lublinie w 1625 r., o dawnych szkołach zamojskich w Szczebrzeszynie, o procesie politycznym włościan Radecznicy w 1906 r. Równoległe pogłębia on swoje studia medyczne. Piśsze rozprawkę o szkodliwości palenia tytoniu przez młodzież, ordynuje w miejscowym szpitalu, wyjeżdża do okolicznych wiosek, w których jedyną formą leczenia było znachorstwo. Jedną namiętność pociągając drugą. Gromadzi eksponaty do muzeum, bibliotekę swoją zapełnia książkami o bibliofilskiej wartości, podejmuje walkę o założenie w miasteczku gimnazjum i... łaźni. Nie zraża się trudnościami, które w zatechłej prowincji piętrzą się bez miary. W 1933 roku oddaje zebrane eksponaty do muzeum w Zamościu. Któregoś dnia niewiarygodna wiadomość: zamojski starosta Zamecznik (warto upamiętnić to nazwisko) oddał je na loterię fantową, lokal przydzielono zaś kasie komunalnej. Nie ocalała również łaźnia, zamieniono ją na mleczarnię. Trud wielu lat i wyrzeczeń poszedł na marne. Dziś epizod ten ma charakter anegdotyczny, ale czym był wówczas dla młodego ambitnego entuzjasty?

Żarliwe oddanie się pracy społecznej, rozległe zainteresowania, a przede wszystkim szlachetna bezinteresowność jedyną mu na szczęście nie tylko wrogów, ale i grono szczerych przyjaciół. Wśród nich płonie wielka indywidualność Leśmiana. Grono entuzjastów pracy organicznej zdobywa się na heroiczne wysiłki. W 1929 r. urządza uroczysty obchód trzechsetnej rocznicy śmierci Szymona Szymonowicza. W zjeździe naukowym poświęconym tej rocznicy bierze udział wielu wybitnych naukowców i literatów. Księga pamiątkowa zjazdu zawiera 17 rozpraw naukowych pióra ludzi tej miary, co prof. prof. J. Kallenbach, St. Lempicki, T. Sinko, K. Górski, J. Krzyżanowski, R. Pollak, J. Dutkiewicz i inni. Powstają bibliofilskie wydania budzące podziw najwybitniejszych specjalistów kraju: „Kwadraty” Młodożeńca, „Ballady” Leśmiana, wydawnictwa propagandowe o Zamościu. Podziwiać te prace należy i dlatego, że nie wydawały tego „książkowe mole”, ale zakonspirowany „KZK” (Klub Zonatyńskich Kawalerów). W 1939 r. staraniem dr Klukowskiego wznowiono periodyczne wydawnictwo Zamojszczyzny „Teki Zamojskie”. Dziś, kiedy wydawnictwa tego typu sub-

wencjonowane są hojnie przez państwo i znikają z półek księgarskich w godnym podziw tempie, trudno nam zrozumieć, jak syzyfowy był ten wysiłek. A jednak powiodło się! Wśród współautorów pisma odczytać można nazwiska przedstawicieli wszystkich ośrodków uniwersyteckich w kraju! Nad „Tekami Zamojskimi“ pochylają się i dziś głowy historyków i studentów poszukujących materiałów do dziejów lubelskiego regionu.

Praca dr Zygmunta Klukowskiego znalazła przed wojną bardzo skromne uznanie natury oficjalnej. Po udaremnieniu przez starostę Zamecznika odznaczenia go Wawrzynem Akademickim otrzymał w 1938 r. Złoty Krzyż Zasługi i mimo wszystko... ów nieszczęsny wawrzyn.

Wybuchła II wojna światowa. Dr Klukowski miał wówczas około 55 lat. Zdawało się, że karta jego twórczego życia zamknęła się. Okrutne czasy nie załamały jednak tej bujnej indywidualności. Zrozumiał, że wysuwają się przed nim nowe, ogromne zadania. Stał się jedynym tego rodzaju w kraju kronikarzem męczeństwa i bohaterstwa swej ziemi. Podjął się sprawy, za którą każdego dnia, każdej godziny groziła kara śmierci. „Szczególnie ważną rolę — pisze o tym okresie jego życia Jan Wiktor — odegrał w czasie okupacji. Wypełniał obowiązki na wielu polach zawsze ofiarnie, z poświęceniem, z odwagą, biorąc udział w pracy społecznej, w akcji podziemnej, niosąc pomoc chorym, rannym, przyjmując do szpitala... W najniebezpieczniejszych czasach gromadził notatki, wyznania, zwierzenia, opisy, dokumenty wydobyte nieraz z zanadta rozstrzelanego, z garści umierającego, spod koszuli ciężko rannego, niejako ostatnie tętna, ostatnie krople krwi i ostatnie tchnienia, aby je zachować i przekazać przyszłym pokoleniom“. Dla tych celów odwiedza obozy partyzanckie, zaopatruje obozy koncentracyjne w lekarstwa, szarżuje własnym życiem. Wieczorami zaś pisze gorączkowo pamiętnik własnego życia. Notuje w nim wszystkie zbrodnie okupanta, charakterystyki przyszłych zbrodniarzy wojennych, nazwiska poległych. W kilka lat później na jego skromnej postaci skupią się spojrzenia największych zbrodniarzy i najtęższych prawników świata na procesie norymberskim, gdzie staną jako świadek i rzeczoznawca w jednej osobie z ramienia narodu polskiego.

Po wojnie rozpoczął ożywioną działalność edytorską i naukową. Wydaje cztery tomy Materiałów do dziejów Zamojszczyzny w latach wojny 1939—1944

(małoduszność władz miejscowych udaremniła zakończenie wydawnictwa), wydawnictwo bez precedensu w kraju i za granicą. Łącznie blisko 700 stron bezcennych wspomnień, notatek, relacji, stanowiących nieocenione źródło dla badań nad okupacją hitlerowską. Obok tego opublikował: „Zbrodnie niemieckie na Zamojszczyźnie“ ze wstępem Henryka Świątkowskiego. Dzięki tym pracom stał się sławny, ale... poza granicami województwa. Piszą o nim w Izraelu, cytują w licznych periodykach oraz pracach historycznych. W 1948 r. decyzją Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie odznaczony został Złotym Krzyżem Zasługi.

W tym roku mija 72 rocznica jego urodzin. Ale mówić o tym wieku w jego obecności jest co najmniej nietaktem. Żywe, inteligentne oczy wciąż jeszcze są młode. Krępa lecz filigranowa postać doktora zmylić może najtęższego fachowca. Jedynie siwe włosy i ostro zakończona bródka zdradzają coś nie coś. Jest bowiem jeszcze ciągle żywy, ciągle pełen porывających planów. „Świeci i podpala, budzi i ożywia, jest ogniskiem miasta, w którym pracuje od wielu lat“ — takim widział go niedawno Jan Wiktor. Chciałby wydać kilkusetstronicowy swój pamiętnik, piąty tom materiałów do dziejów Zamojszczyzny, w rękopisie posiada I tom monografii (!!!) o Zamojszczyźnie w okresie okupacji, przygotował do druku tom poezji podziemnej oraz materiały ikonograficzne z okupacji (rewelacja na skalę światową). Odesłał do wydawnictwa monografię o służbie zdrowia w okresie okupacji.

Dorobek ten zdumiewa przy nawet bardzo słabej orientacji, czym jest praca naukowa.

Oceniając bliżej twórczość naukową dr Z. Klukowskiego pedantyczny krytyk znajdzie wiele braków. Słabą ich stroną (dotyczy to szczególnie wydawnictw pookupacyjnych) jest warsztat naukowy, sprawa edycji, uporządkowania, skomentowania i krytycznej analizy materiałów itp. Nie są to jednak sprawy najważniejsze wobec ich wartości merytorycznej. W całej jego twórczości nie ma na ogół rzeczy nieistotnych. Poważniejszym zarzutem można obarczyć dr Klukowskiego za pominięcie w swej pracy ruchu lewicowego.

Mimo braków, trzydzieści siedem lat działalności społecznej i naukowej dr Zygmunta Klukowskiego przynosi chlubę Ziemi Lubelskiej, której bez reszty poświęcił swe gorące, niespokojne serce.

Z. M.



ZOPASKA

Autor tych wierszy, z zawodu nauczyciel, uczeń prof. Tadeusza Seweryna, jest entuzjastą folkloru opoczyńskiego, zbieraczem miejscowych „godek”, „bajd” i „legynd” oraz miłośnikiem gwary, którą posługuje się w wielu utworach. Pisze również językiem literackim. Przygotowuje do druku tom poezyj w gwarze opoczyńskiej, współpracuje z dodatkiem kulturalnym kieleckiego „Słowa Polskiego”.

Zamieszczając interesujące wiersze Bolesława Wojewódzkiego „Kamena” pragnie tą drogą nawiązać kontakt kulturalny z województwem kieleckim.

Utkąłam zopaskę
wedle swojej woli,
w takie same paski,
co i nase pola.

Poli się bogastwo
kolorów na suknie,
niepojinte władztwo
sieje rezolutnie.

Lynciny zimnioka
plóncóm ustawienie
ci co chwile oko
we farbach prześlicnych.

Zboza pieśń o chlebie
złócóm na osnowie,
lny zbiegajóm z nieba,
drogi im sposobióm.

Rzepok z słonecznikóm
kradnóm słońcu blaski,

łubiny z ognichóm
z radości im klascóm.

Białne gryki scodre
i woscyny piosków
cichuśko, pokornie
corne krzocki głascóm.

Burok głośnym krzykóm
krew pomnozo w echach
seradel, kónicyn,
mgleje w fijoletach.

Patrzóm, patrzóm wszyscy
na zopaskę mojom
i ocy im błyscóm,
radościóm się pojóm.

Boć to óna przecieć
opocyńskij doli,
w óne to pasecki,
co i nase pola.



WSTÓNZKI

Kupiłóm ci wstónzki,
Marysiu,
w warcoke juz wiózn je
od dzisiej.

Zapletej cerwónóm
codzinnie,
niech kochaním plónie
niezminnie.

Na jarmak ustrój się,
w niebieskóm,
bo tako nie skuso
do piescot.

Do tónca bierz zóltóm,
zondrosnóm,
sij słońce wokółko
i wiosne.

Do pracy tencowóm
ubiroj,
tyn kolor swóm mowóm
plón zbiro.

Roz jedyn, ma lubo,
zopleć-ze
biolniutkóm do ślubu
wtónzecke.

PIÓRA

Darłam gysie pióra
na wiano dło córny.

Przebywo mi puchu
na wielgie poduchy.

Jest juz cołko skrzynio,
bedzie wnet pierzyna.

Bedzie moja córa,
spała na tych piórach.

Moze tyz od gysi
przejmie biołne myśli,

radość, cystość, zgode,
lotność i urode.

Oj, chciałabym ninie,
by moje nosinie

zmnozeło sie w stado,
za córkóm z paradóm,

jako moje gysi,
wydarzyło mi się.

Jo te mary z puchym
zasyje w posewki,
by je wiatr nie zdmuchoł,
by sie nie rozesty.

Po wesielu złoze
poduski pod sufit,
niechoj zdobióm łoze,
przed zińcim się pusóm.

Darłam gysie pióra
na wiano dło córny.

Tak sie zamyślałam,
zem noc nie dospała.

Bolesław Wojewódzki

GŁOSY Z TERENU

Lęcna

„Chłopi z Lęcnej gniewają się“ — powtórzył kilkakrotnie przedstawiciel tamtejszego komitetu Frontu Narodowego na plenarnym posiedzeniu Wojewódzkiego Komitetu Frontu Narodowego w Lublinie w dniu 15.IX. br. Dlaczego gniewają się chłopi z Lęcnej? Bo „terror“, bo „kumoterstwo“, bo „kombinacje“ itp. Owe „kombinacje“ mają w Lęcnej osobliwy charakter. W czasie jarmarku, np., kiedy zjeżdżają do Lęcnej chłopi z okolic, zamyka się w mieście sklepy, bo pracownicy sklepowi mają „ćwiczenia ideologiczne i chóry muszą ćwiczyć“.

Hrubieszów

Coraz szersze kręgi zatacza historia pewnej świetlicy w Hrubieszowskim. Było tak. Miejscowe władze zwróciły się do „miarodajnych czynników“ z prośbą o remont świetlicy. Skończyło się na tym, że świetlicę... rozebrano, drzewo ulotniło się a nawet i fundamenty znikają.

Miejscowi działacze społeczni robią co mogą, ale natrafiają ciągle na opory i zaczyna się wśród nich szerzyć pogląd, że Front Narodowy to taki „sezonowy front“, potrzebny tylko „do wyborów“. Kolejki za chlebem w Hrubieszowie (!!!) nie znikają.

Chełm

W Chełmie kłopoty z młynami, za mało ich i nie radzących z robotą. Był młyn duży i zaspokajał potrzeby ludności, ale od czasu upaństwowienia go, to jest od

dwu lat — jest w remoncie i oczywiście: nieczynny. Nie brak w Chełmie i innych trosk, bo odłogi... bo wędrowni właściciele gospodarstw, bo gospodarstwa „podupadłe“, bo nie wiadomo jak mają działać rady gromadzkie... Miał Chełm swoje czasopismo „Wiadomości Chełmskie“, ale go już nie ma.

Kraśnik

Od siedmiu miesięcy Kraśnik nie odbył ani jednego plenarnego zebrania komitetu Frontu Narodowego. Śle się pisma w sprawach terenowych do Lublina, lecz odpowiedzi nie ma, a posłowie niewiele interesują się Kraśnikiem.

Puławy

Istnieje tam jeszcze czasopismo terenowe, ale robi już bokami i bez pomocy z Lublina pójdzie śladem chełmskiego. To zjawisko nie jest odosobnione. Czy nie lepiej pomóc zamiast likwidować?

Otwierając kolumnę „GŁOSÓW z TERENU“ Redakcja prosi terenowych działaczy społecznych o nadsyłanie listów na tematy związane z ich działalnością, z ich troskami i trudami w pracy. Głos nasz w sprawie aktywności posłów lubelskich nie pozostał bez echa i mamy nadzieję, że w dalszym ciągu „Kamena“ będzie mogła pomagać wszystkim tym, którzy nieraz w trudzie największym borykają się z upiorami centralizmu, kacykostwa, zamordyzmu, kumoterstwa, biurokracji itp.

Redakcja

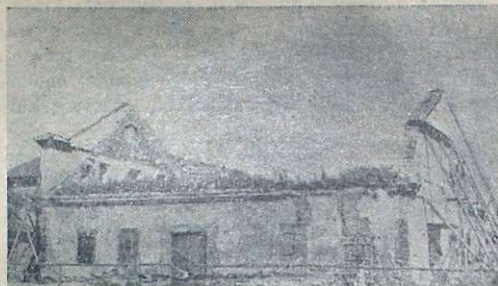
ZABYTEKI LUBELSZCZYZNY NISZCZEJĄ

— Zabytek? He, he, kupa ruin, nie zabytek — śmieje się przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej w Lubartowie. — Takich domów jest u nas pełno!

Zaczynam tłumaczyć, że to jest jedyny w całej Lubelszczyźnie przykład miejskiego budynku mieszkalnego z epoki baroku, z osiemnastego wieku, że szczyty...

— Tak, tak, słyszałem. Ale jeśli to takie чудо, to dlaczego pozwolicie mu tak niszczyć?

Dom Kiszemberga w Lubartowie stał się niemal legendarny. Zniszczony podczas wojny stoi do tego czasu niezamieszkały, popada w coraz większą ruinę. Nie ma właścicieli? Nie, są, jest ich aż za dużo i w tym cały sęk. Część domu jest własnością ludzi



Dom Kiszemberga w Lubartowie
(stan z roku 1955)

prywatnych, część (około 1/8) stanowi własność Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Zaraz po wojnie prywatni właściciele chcieli dom wyremontować i przystosować do celów mieszkalnych, oczywiście według własnego upodobania, ale tu zjawiał się trzeci właściciel — Wojewódzki Urząd Konserwatorski — i odtąd zaczął się cały dramat. Konserwator Wojewódzki nie mógł się zgodzić na przebudowę proponowaną przez prywatnych właścicieli, która oznaczałaby zniszczenie najbardziej istotnych części zabytku (między innymi chciano rozebrać szczyty i nakryć dom płaskim dachem papowym), natomiast remont przeprowadzony w myśl wskazań konserwatora był zbyt kosztowny, a przede wszystkim nieekonomiczny — nic dziwnego, gdyż miał na celu nie zwiększenie powierzchni użytkowej domu, ale zachowanie jego zabytkowego układu. Prywatni właściciele wycofali się więc na razie czekając na lepszą koniunkturę i na scenę wyszła Miejska Rada Narodowa, która przystąpiła w 1953 r. do remontu. Rozebrano dach i zaczęto robić starania o materiał budowlany. W r. 1954 użytkano nawet przydział tarcic, które jednak z niewiadomej przyczyny w ostatniej chwili zostały skierowane do Nałęczowa i na tym się skończyło, bo na razie zabrakło pieniędzy.

Tymczasem starano się — trzeba przyznać, że bardzo usilnie — o zdobycie użytkownika, który by objął w posiadanie nieszczęsny zabytek i wyremontował na własny koszt — oczywiście według wskazówek urzędu konserwatorskiego. Oglądali budynek kolejno przedstawiciele z „Ruchu”, PKO, Banku Rolnego, ale wszystkich odstraszały wysokie koszty remontu. Wreszcie zdecydowała się PSS i już, już nadzieja zaczynała świtać, na dole miał być zakład zbiorowego żywienia, a na górze administracja, w ostatniej jednak chwili nie zgodziła się „centrala” ze względów wyżej wymienionych.

Ostatnim projektem było urządzenie internatu, lecz okazało się, że nie ma miejsca na wybudowanie pomieszczeń gospodarczych, nie mówiąc już o jakimś dziedzińcu, gdzieby młodzież mogła zażywać ruchu (parcela narożna).

Wśród tych miłych utareczek dom niszczał w piorunującym tempie i w 1955 r. okazało się, że jeden z owych bezcennych szczytów grozi zawaleniem (widoczny na zdjęciu, podparty stemplami). Specjalnie zwołana komisja stwierdziła, że odchylenie szczytu od ściany bocznej wynosi ok. 30 cm; w każdej chwili może runąć, a dookoła mieszkają ludzie. Za zgodą konserwatora wojewódzkiego rozebrano cały zagrożony szczyt od strony wschodniej i górną część szczytu zachodniego. Na wyremontowanie całego budynku nie miała funduszy ani Miejska Rada Narodowa, ani Wojewódzki Urząd Konserwatorski. Teraz do ataku ponownie ruszyli prywatni właściciele: ponieważ dom nie ma szczytów (przecież stale chodziło o te szczyty), więc oni proszą o „skreślenie go z listy zabytków”, tudzież o pozwolenie, by mogli przeprowadzić remont na własną rękę, bo przecież dom stoi, a tak rozwalili się prędzej czy później. Oczywiście pozwolenia nie uzyskali, ale wytworzyła się dosyć dwuznaczna sytuacja, którą mogłaby najlepiej zilustrować historyjka z psem ogrodnika...

Trzeba zaznaczyć, że Lubartów jest małym, biednym, zakisłym miasteczkiem, typową prowincją, przed którą drżą młodzi absolwenci wszystkich wydziałów, prowincją, w której nic się nie buduje, nic się nie „rusza”, w której nie czuć powiewu „nowego”. W tym roku miano budować dwa bloki mieszkalne, ale cofnięto kredyty i roboty zaczynają się dopiero w roku następnym. A ludności przybywa i o mieszkanie trudniej tutaj niż w Warszawie. Nic więc dziwnego, że stosunkowo dosyć duży dom stojący bezużytecznie budzi rozgoryczenie wśród mieszkańców i wcale nie przyczynia się do krzewienia miłości ku zabytkom.

— Co zamierzacie dalej robić? — pytam się w lubartowskiej Miejskiej Radzie Narodowej. Bezradny ruch ręki.

— Na remont nie mamy pieniędzy. Żeby może weszła jakaś komisja, która by coś wreszcie postanowiła. Gdyby wspólnie połączyć fundusze nasze i te, które dostalibyśmy ewentualnie z Lublina, to może coś by się zrobiło. Na razie tylko piszemy wnioski, proszę, niedługo zbierze się tego całe archiwum.

Obchodzę z miejscowym milicjantem zabytkowy dom.

— Ach, tak, ten ich zabytek — mówi wyrozumiale. I zaraz dodaje — jak się rozwali całkiem, to wreszcie będzie spokój.

Zaglądam przez szparę drzwi do wewnątrz — zwąły gruzu porośnięte wesołą zieloną trawą: jedyny w swoim rodzaju na Lubelszczyźnie barokowy dom mieszkalny.

— My na remont generalny także nie mamy pieniędzy — mówi konserwator wojewódzki — w przyszłym roku z naszych funduszy będą odbudowane szczyty, zabezpieczone mury i postawiony dach. Reszta będzie należała do użytkownika.

Oczywiście, jeżeli się znajdzie. W przeciwnym razie wszystko znacznie się na nowo. Nie mówiąc już o tym, że zabytek dlatego jest cenny, bo jest autentyczny, wszelkie doróbki i rekonstrukcje, choćby najwerniejsze, obniżają jego znaczenie i wartość.

Podobna historia zdarzyła się w Łęcznej w związku z zabytkową renesansową synagogą z XVI wieku (zabytków tego rodzaju dzięki specjalnej polityce okupanta zachowało się szczególnie mało). Znaczeniem pierwszej wagi jest znalezienie dla zabytkowego obiektu użytkownika, który by się nim zajął i opiekował — tutaj sprawa ta szła szczególnie opornie. Przez 10 lat synagoga stała bezużytecznie i niszczała, aż dopiero w 1955 r. Wydział Kultury WRN w Lublinie zrobił dokumentację, przewidującą przejęcie budynku na cele kulturalno-oświatowe (Dom Kultury), ale departament tego samego ministerstwa, które jest powołane m. in. do opieki nad zabytkami — Ministerstwa Kultury i Sztuki — Centralny Zarząd Światlic, Domów Kultury i Twórczości Amatorskiej w ostatniej chwili odmówił objęcia gmachu („nie nadaje się“). Zwrócono się więc do Okręgowego Zarządu Kin, aby przejął synagogę na swoje cele: — Bardzo chętnie, ale nie ma... pieniędzy. Trzeba było dopiero aż interwencji m. in. lubelskiego posła na Komisji Sejmowej, aby Centralny Zarząd Światlic zajął się tą sprawą na serio.

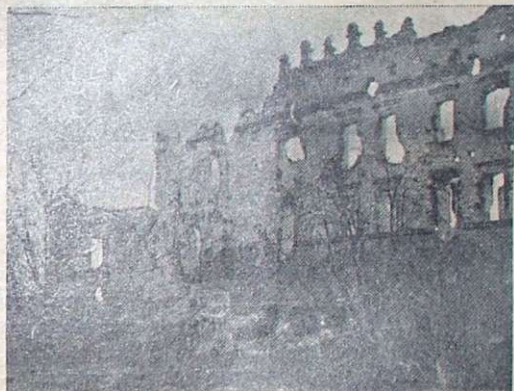
I trzeci przykład.

Piękny, zabytkowy, okazały pałac klasycystyczny w Horodyszczach w powiecie włodawskim wraz z parkiem należy do Szkoły Rolniczej w Jabłoni. Obecnie zamieszkuje go kilka rodzin, które znalazły się tam zupełnie przypadkowo. Po pewnym czasie Wydział Oświaty w Radzynie zdecydował się adoptować pałac na Dom Dziecka, pod warunkiem jednak, że wojewódzki konserwator dokona remontu. Utało się bowiem przekonanie, że jeżeli obiekt jest zabytkowy, to wszelkie roboty remontowe powinien finansować konserwator. Konserwator, któremu nieraz nie wystarczy nawet na zabezpieczenie obiektu, co jest już

jego obowiązkiem, gdyby chciał wyremontować ten pałac, nie miałby przez cały rok na słomiane nawet pokrycie dla jakiejś walącej się zabytkowej dzwonnicy czy studni.

Często przez różne instytucje użytkujące zabytkowe gmachy praktykowany jest zwyczaj nie dokonywania w nich żadnych remontów, a gdy zaczyna się lać na głowę, wtedy zmienia się lokal, bo to przecież zabytek, a więc troska o niego ich nie dotyczy...

Dlaczego w naszym państwie dzieją się takie dziwne rzeczy? Myślę, że powodem tego jest przede wszystkim niewłaściwy stosunek społeczeństwa do zabytków przeszłości i to począwszy od najważniejszych instytucji, a skończywszy na pojedynczym zwykłym człowieku, stosunek, który określiłbym jako niepoważny, sentymentalno-romantyczny do obiektów okazałych i zupełnie obojętny do tych drugiej i trzeciej klasy. Zabytek — to efektywna dekoracja miejska, to niewyczerpany temat do piosenek, wierszy i obrazów dla artystów spod ciemnej łapy, to miejsce, pod które prowadzi się wycieczki krajo-we (podziwiał, ciemna prowincjo!) i zagraniczne (prawda, jacy jesteście kulturalni! Ho, ho! my też coś mamy!) — wszystko, tylko nie dokument naukowy, dokument materialny, namacalny, rzeczowy, któ-



Ruiny zamku w Krupem

ry świadczy o naszej przeszłości wbrew temu, co o nas gdzieś tam wypisują, który jest ogniwem nauki o naszym minionym życiu, który pozostanie długo, choć nas już nie będzie, jako świadectwo naszej kultury, naszego rozwoju artystycznego i technicznego, naszej wiedzy i talentu.

Wydaje się u nas miliony złotych na odbudowę zabytków. Ludzie na ogół chwalać to sobie, ale często ci sami, którzy potrafią uronić łezkę nad pięknem Starówki, śmieją się, gdy im się mówi, że tego lub owego nie można ruszać, bo to zabytek.

— Chłopi rozbierają po nocach zabytkowe ruiny na cegłę — mówi wojewódzki konserwator — niedługo ruiny zamków w Krupem, koło Krasnegostawu, Zawieprzycach czy Białawinie koło Chełma znikną z po-

wierzchni ziemi, będziemy mieli za to nowe wspaniałe chałupy i obory. Milicja nie chce podjąć się pilnowania, na dozorcę nie ma etatu.

Nie wiem, może postawić łapki na szczury, zaminować naokoło teren albo posypać DDT. A może zorganizować jakąś kontrolę albo opiekę społeczną, zwrócić się z tym do Samopomocy Chłopskiej albo PTTK? Ale najpierw trzeba wzbudzić w tych ludziach zrozumienie wartości niszczonego zabytku, wytłumaczyć, że to nie jest zwykła kradzież cegły — to okradanie kultury polskiej z jej dowodów rzeczowych. Niestety, jak się czasami okazuje, trudno to zrozumieć awet ludziom wykształconym.

Osiemnastowieczny barokowy kościół w Bochojnie koło Należczowa jest położony na pięknym zadrzewionym wzgórzu. Kamienie, białe, szerokie stopnie, dużo stopni, biały mur. Sam kościół jest mały, jednonawowy.

— Bardzo mały — podchwytuje ksiądz — parafia rozrasta się stale, a pozwolenia na rozbudowę kościoła nie mogę uzyskać. Sprawa ciągnie się od pięciu lat.

— Przecież to zabytek — próbuję wtrącić — ustawa konserwatorska mówi, że budowli zabytkowej nie można rozbudowywać, przerabiać, ozdabiać, to przecież niszczenie...

Ale to wywołuje nowy wybuch goryczy.

— Zabytek! Takich zabytków mamy tysiące!!!

Pierwszy projekt przebudowy kościoła przewidywał odbudowę istniejącego dawniej zabytkowego skarbczyka i dobudowę bocznej, olbrzymiej kaplicy, której powierzchnia przewyższałaby powierzchnię nawy głównej, oraz dostawienie równie ogromnej wieży w fasadzie. Oznaczałoby to w rezultacie zniszczenie dawnego zabytkowego układu kościoła i zeszczenie całej jego sylwety. Nawiasem można dodać, że projekt przewidywał zniszczenie zabytkowego nagrobka stojącego przy ścianie bocznej, ponieważ tamtędy

miało być przeprowadzone przejście. Konserwator wojewódzki odrzucił ten projekt jak i następny, który przewidywał dobudowę zamiast kaplicy dwóch naw bocznych (nagrobek tym razem miał być ocalony). Tymczasem ksiądz uzyskał akceptację szkicu projektu (a nie projektu samego) przez Centralną Komisję Konserwatorów Muzeów i Ochrony Zabytków i uzbrojony tym stale atakuje Wojewódzki Urząd Konserwatorski, który nie może wydać zezwolenia tego rodzaju. Sprawa nabrała nieprzyjemnego charakteru osobistych ambicji połączonych z aspektem politycznym. Takich faktów, choć z drugiej strony i wielu przykładów ofiarności ze strony duchowieństwa na rzecz ratowania zabytkowych obiektów sakralnych — zdarza się dosyć dużo.

Oczywiście, tak w tym jak i w wielu innych wypadkach, można budować gdzie indziej nowy kościół, zostawiając zabytek w spokoju, ale cóż, kiedy próba jest tańsza, „takich zabytków jest tysiące“.

Tysiące!... Jesteśmy ubożsi w zabytki bardziej niż każdy inny kraj, bo u nas więcej niż gdzie indziej było wojen, powstań, zaborów i okupacji, podczas których dzieła sztuki topniały jak wosk, a czego nie wywieźli obcy, w tym wyręczyli ich sami. Dlatego też musimy bardziej niż każdy inny kraj dbać o najmniejszy, najbardziej nawet nieefektywny zabytek, zarówno z wieku jedenastego jak i dziewiętnastego. Musimy odbudowywać nie tylko Starówki i Barbakany, nie tylko okładać kolorowym tynkiem reprezentacyjne kamieniczki miejskie, ale ratować od ruiny prowincjonalne budowle zabytkowe, bronić ich przed zniszczeniami wynikłymi z bezdusznej polityki urzędów, przed wybujałymi ambicjami poszczególnych użytkowników, przed ich lenistwem, wygodnictwem i obojętnością, przed obojętnością całego społeczeństwa. W przeciwnym wypadku — nie pomogą i milionowe dotacje państwa.

Elżbieta Drzewińska

KRONIKA KULTURALNA LUBLINA I LUBELSZCZYZNY

Lubelski Oddział Związku Literatów Polskich od szeregu miesięcy prowadzi pertraktacje z czynnikami kulturalnymi miasta w sprawie subwencji na zbudowanie pomnika na grobie poety Józefa Czechowicza. Obecnie otrzymaliśmy zapewnienie, że Wydział Kultury uzyskają potrzebne na ten cel fundusze.

*

W Lublinie we wrześniu oddano do użytku 5 nowych szkolnych budynków. Jest to niewątpliwie, jak na warunki lubelskie, duże osiągnięcie Wydziałów Oświaty. Natomiast niedostateczne jest zaopatrzenie w opał na zimę jeszcze 400 szkół w Lubelszczyźnie. Wydział Oświaty tłumaczy to brakiem węgla w GS.

*

W Województwie Lubelskim mamy 56 szkół średnich i około 1800 podstawowych. W roku szkolnym

56/57 we wrześniu przystęło do szkół średnich pięćdziesięciu nowych nauczycieli, do szkół podstawowych około 400. W szkołach licealnych (całe województwo) przystąpiło do nauki w tym roku 14 tysięcy młodzieży, w podstawowych około 235 tysięcy dzieci (w ubiegłym roku szkolnym było 219 tysięcy dzieci). Do pierwszych klas w tym roku przyszło 40 tys. dzieci, o 3 tysiące więcej niż w roku zeszłym.

*

W dniu 3 września odbyło się w sali konferencyjnej MRN, przy placu Łokietka, otwarcie roku szkolnego w Podstawowej Szkole Muzycznej i Liceum Muzycznym w Lublinie. Obie szkoły rozpoczynają rok szkolny w odremontowanym i niedawno uzyskanym budynku przy ul. Krakowskie Przedmieście 55.

Województwo Lubelskie posiada 7 szkół artystycznych: 3 w Lublinie, 4 zaś w miastach powiatowych: Zamościu (2), Chełmie i Nałęczowie. Ognisk artystycznych mamy 6, z tego dwa w Lublinie: Ognisko Muzyczne i Ognisko Choreograficzne, nowootwarte od br. pod dyrekcją Marii Grodzkiej.

Jednym z najbardziej wyróżniających się Ognisk Muzycznych w województwie jest Ognisko w Łukowie pod dyrekcją Rick-Wiśniewskiego. Działalność Ogniska pod względem szerzenia zamiłowania do muzyki promieniuje na całe miasto. Ognisko ma za sobą w ubiegłym roku szkolnym 75 występów w okolicznych wsiach i 4 audycje nagrane przez Radio Lubelskie.

Powstałe w ubiegłym roku Liceum Kulturalno-Oświatowe pod dyrekcją A. Iskrzyckiego od nowego roku szkolnego otrzymało nowy stylowy budynek przy ul. Grodzkiej, który zajmuje razem z wygasającym liceum Technik Plastycznych. Liceum K.-O. w tym roku otrzymało już drugą klasę. W szkole tej przewidziane są dwa kierunki specjalizacji: dział teatralny i dział dyrygencki. Jednakże Wojewódzki Wydział Kultury, ściślej zaś dział szkolnictwa artystycznego, prowadzony przez ob. Lipską, zamierza skorygować te specjalizacje w kierunku utworzenia działu choreograficznego zamiast działu dyrygenckiego. Dział dyrygencki znajduje się bowiem w Liceum Muzycznym i kształci swych instruktorów bardziej fachowo, niżby to mogło być realizowane w Liceum K.-O.

Wojewódzka Komisja Funduszu Burs i Stypendiów im. F. Chopina w Lublinie, na skutek reorganizacji w Komisji Centralnej, zalega z wypłatą stypendiów muzycznych przyznanych dzieciom i młodzieży pianistycznej szkół Lubelszczyzny.

Tegoroczny miesiąc pogłębienia przyjaźni Polsko-Radzieckiej otwarto w dniu 9 września w sali Okręgowego Domu Oficera w Lublinie uroczystą wieczornicą, na której obecna była delegacja młodzieży białoruskiej z Rozą Pulną, pierwszym sekretarzem Obwodowego Komitetu Komsomołu z Brześcia. W części artystycznej brali udział artyści Teatru im. J. Osterwy i Teatru Muzycznego oraz orkiestra Filharmonii Lubelskiej pod dyrekcją A. Cwojdzńskiego.

Poza 35-osobową delegacją młodzieży z Brześcia przybyła do Lublina grupa przedstawicieli świata kulturalnego ze Lwowa. 11 września witali gości w sali Państwowego Teatru im. J. Osterwy w Lublinie 1 sekretarz KW PZPR Bazyl Hołod oraz kierownik Wydziału Kultury PWRN Jadwiga Grossman. Między przybyłymi znajdował się poeta lwowski Antoni Śmigieński, tłumacz poezji Konopnickiej, Tuwima, Broniewskiego. Śmigieński recytował swoje przekłady oraz wiersz oryginalny o I. France. Nasz poeta K. A. Jaworski odczytał kilka swoich przekładów poezji ukraińskiej. W wieczorze wziął udział zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej pod dyrekcją W. Kaniorowej, który wystąpił w Suicie Lubelskiej i Suicie Ukraińskiej.

Filharmonia Lubelska rozpoczęła sezon koncertowy 7 września. Stanisław Szpinalski grał koncert f-moll Chopina. Dyrygował Andrzej Cwojdzński.

Nowy kierownik artystyczny i I dyrygent Filharmonii Lubelskiej Karol Strzempa wyjechał na międzynarodowy konkurs dyrygentów do Besançon.

Państwowy Teatr im. Osterwy gra w nowym sezonie shawowskiego „Ucznia diabła” w reżyserii Jerzego Wyszomirskiego i „Dramat księżycowy” Brandstaetera (w reżyserii Aleksandra Aleksego), których premiery odbyły się w końcu lipca, przed miesiącem urlopowym.

13 września odbyła się trzecia z kolei — po operetce „Swobodny wiatr” i „Rose Marie” — premiera. Wystawiono operetkę Kalmana „Dziewczę z Hollandii” w reżyserii Tadeusza Wołowskiego.

Posłowie Lubelszczyzny z Józefem Popką na czele złożyli we wrześniu interpelację w Sejmie w sprawie objęcia Lublina zakazem meldowania. Druga interpelacja dotycząca przekazania gmachu Okręgowego Domu Oficera w Lublinie Wojewódzkiej Radzie Narodowej na rzecz Teatru Muzycznego, Filharmonii oraz szeregu innych instytucji kulturalnych.

1 września nastąpiło otwarcie sezonu w Klubie Związku Pracowników Kultury i Stowarzyszeń Twórczych. Otwarcie było połączone z wystawą Grupy 55 z Warszawy. Kierownictwo Klubu nawiązało kontakt z warszawskim klubem „Krzywego Koła” w sprawie wymiany wystaw między Warszawą a Lublinem. Poza tym odbył się wieczór autorski Zbigniewa Jakubika i prelekcja inż. Gawareckiego na temat zabytków lubelskich. Klub utworzył bibliotekę, zawierającą 3 tysiące tomów beletrystyki. O ożywieniu zainteresowania pracą Klubu świadczy liczba kart wstępu zwiększona w tym roku do 1200. Do współpracy kulturalnej przystąpił również SARP.

Lubelski Klub Dyskusyjno-Filmowy rozpoczął we wrześniu stałe projekcje najciekawszych filmów światowej produkcji przy omawianiu ich przez przyjezdnych, zaproszonych do Lublina prelegentów. W dniu 7 bm. dyskusję zgał i poprowadził red. L. Bukowiecki z Warszawy. Wyświetlony był film francuski René Claire'a „Kapelusz z włoskiej słomki” w wersji czeskiej. Red. Bukowiecki zaznaczył w swym przemówieniu, że Lubelski Klub Dyskusyjno-Filmowy wyróżnia się dużą aktywnością i cieszy się bogatą frekwencją, będąc jednym z żywo pracujących klubów na terenie kraju.

W Lubelskim Domu Kultury na Zamku, którego kierownikiem jest Irena Szczepowska, powstały dwa zespoły teatralne. Jednym z nich jest młodzieżowy teatr eksperymentalny „Atem”. Teatr ten przygotowuje widowisko osnute na tematach legend lubelskich.

W jednej z sal wystawowych Domu Kultury na Zamku we wrześniu była czynna wystawa fotografii amatorskiej. Przewidziana jest także wkrótce wystawa fotografii artystycznej znanego artysty-fotografika J. Hartwiga.

Wydział Kulturalny PWRN projektuje od przyszłego roku utworzenie spółdzielni zabawkarsko-sprzeczarskiej w Nałęczowie. Znaleźliby tu zatrudnienie absolwenci szkół plastycznych i ognisk naszego województwa.

W Lublinie mieszka emeryt, b. księgowy, 81-letni Ludwik Leszczyński, spowinowaony z Adamem Mickiewiczem. Stryjeczny dziad jego Jan Nepomucen

Leszczyński był szwagrem Adama Mickiewicza i Teofila Lenartowicza, którzy jak wiadomo ożenili się z siostrami Szymanowskimi: Celiną i Zofią, córkami sławnej pianistki Marii Szymanowskiej. Trzecią jej córką Aniela wyszła za Jana Nepomucena Leszczyńskiego. W domu rodzinnym Leszczyńskich znajduje się kilka cennych pamiątek po Mickiewicu.

H. S.

CZY NIE SZKODA WYSIŁKÓW?

Bardzo się zdziwiłem, kiedy ostatnio, oglądając nasz Rynek staromiejski, ujrzałem u wyłotu Bramowej piękny, trzyizbowy i dwufrontowy lokal z kamienną posadzką, kasetonami, malowidłami, kandelabrami kutymi ręcznie w żelazie, z ozdobnymi kratami, z ka-

loryferem ukrytym pod ażurową osłoną, słowem: wewnątrz artystycznie wykonane, a w nim... skrzynie z wódką, jakieś worki oparte o ścianę, pieczywo, ser, śledzie itp.

Rynek zwiedzają turyści krajowi i zagraniczni i zapewne też się dziwią patrząc na ten osobliwy sklep. A przecie lokal ten nadaje się doskonale na kawiarnię lub jakiś klub.

Oczywiście, mieszkańcy Rynku staromiejskiego muszą mieć swój sklep spożywczy, ale czy koniecznie w lokalu tak kosztownym i artystycznie wykonanym?

Kazimierz Miernowski

O CZYM PISAŁA „KAMENA“ PRZED 20 LATY

Wrześniowy numer „Kamena“ z roku 1936 zawierał artykuł Tadeusza Bocheńskiego „Kilka myśli o poecie, krytyku i czytelnictwie“, wiersze Włodzimierza Słobodnika, Olgi Daukszy, Stefana Napierskiego, Wacława Iwaniuka, Czesława Janczarskiego i K. A. Jaworskiego, fragment powieści Kazimierza Truchanowskiego „Ulica Wszystkich Świętych“, artykuł o poezji serbo-łużyckiej i przekłady wierszy Zejlera, Ciszynskiego i Skali (pióra Julii Wieleżyńskiej), tłumaczenia z poezji francuskiej S. Napierskiego i K. A. Jaworskiego, recenzje zbiorów wierszy Włod-

zimierza Pietrzaka („Prawo drapieżne“) i Jana Kotta („Podwójny świat“), dział kroniki słowiańskiej oraz noty. W notach -kaj- m. in. występuje przeciwko dewastacji Tatr w związku z budową kolejki na Kasprowy i rozprawia się z A. Kożuchowskim, który w „Myśli Polskiej“ domagał się „oczyszczenia“ Polski „od najazdu marksistowskich termitów“ przez stosowanie drakońskich metod. Numer zdobyła wkładka linorytowa Zenona Waśniewskiego „Ponte dei Sospiri“ (ilustracja do zbioru liryk A. Błoka „Wiersze włoskie“).

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

Gorzka młodość*)

Jest to proza bardzo młoda. Nawet, gdyby ominąć przedmowę Tadeusza Konwickiego do *Rojstów*, wyznaczającą chronologię tej powieści — z jej wizji artystycznej, stylu oraz specyficznej otoczki emocjonalnej można odczytać nieomylnie symptomy debiutu. Duży szmat pisarskiej drogi dzieli *Rojsty* od *Włazy*, a jeszcze większy od *Godziny smutku*...

Jest to książka bardzo gorzka. Rozrachunek, który Konwicki przeprowadza w niej ze swą wileńską i akowską młodością, zawiera stanowczo więcej pozycji po stronie „winien“ niż po stronie „ma“. Temu 170-stronicowemu pamiętnikowi człowieka znajdującego się na pograniczu dzieciństwa i młodości została odebrana wszelka radość i świeżość ludzkiego dojrzenia, najpiękniejszej z naszych pór życia. Wszystkie najświętsze słowa, zastrzeżone przez poetów i filozofów dla młodych ludzi, w rodzaju: miłości, ojczyzny, honoru, patriotyzmu — zostają w powieści Konwic-

kiego poddane gwałtownej dewaluacji przez ich zetknięcie z brutalną prawdą życia, a raczej z krystalizującym się coraz wyraźniej w umyśle narratora bezsensiem ludzkiego bytowania. Gorycz zapisuje wszystkie bez wyjątku stronicie *Rojstów*, kształtuje tragiczne finały ich poszczególnych scen, zdecydowanie przekreśla ludzką wartość poszczególnych występujących tam bohaterów.

Czy to jest powieść polityczna? Na pierwszy rzut oka wydawać by się mogło, że jak najbardziej tak. Konkretyzacja czasowa, historyczna akcji i tła jest jasna i niedwuznaczna: koniec roku 1944, który zamyka również istnienie wileńskich oddziałów Armii Krajowej, zniżających się coraz bardziej do roli i funkcji szajek bandyckich, walczących przy pomocy rabunków i mordów o utrzymanie się przy życiu za wszelką cenę — nawet za cenę zniszczenia ze szczerem wszelkiej hierarchii moralnych i obywatelskich wartości. Historia, ów główny bohater politycznej powieści, ukazana jest w *Rojstach* jako tragiczne fatum,

*) Tadeusz Konwicki: *Rojsty*, Warszawa, 1956. Czytelnik.

decydujące tylko o czasie i okolicznościach zagłady człowieka — nigdy o jego ocaleniu.

W tej powieści quasi politycznej brak naprawdę wielkiej polityki. W *Rojstach* nie widzimy prawie nigdy tych ludzi, którzy naprawdę trzymają w rękę kierownicze nici, prowadzące do resztek wileńskiej partyzantki, więcej: którzy ciągną bezpośrednie zyski z beznadziejnego tułania się po lasach garstki młodzieży i dyskontują je na płaszczyźnie międzynarodowej. Poza dość karykaturalnie naszkicowanymi sylwetkami starszych oficerów, próbujących za wszelką cenę przedłużyć epilog partyzanckiego dramatu — głównym bohaterem *Rojstów* jest ucieleśniony wielorako młodzieńczy projekt na człowieka, który dopiero zaczyna myśleć nad swoim postępowaniem, zaczyna w sobie wyrabiać bardzo prymitywne poczucie odpowiedzialności za własne czyny.

„Projekt na człowieka“ — czy to nie zanadto dosadne określenie koncepcji bohatera, którą Konwicki zademonstrował w *Rojstach*? Otóż właśnie: debiut autora *Godziny smutku* w dziwny, ale rzeczywisty sposób kontaktuje się w swych niektórych warstwach poznawczych i artystycznych z powieściami Gombrowicza i Krzywickiej, opisującymi perypetie wieku dojrzwania. Bohaterowie tamtych pisarzy są co prawda najbardziej uczuleni na tajniki płci, chłopcy opisani przez Konwickiego — choć nie gardzą bardzo prymitywnie pojętym kontaktem z kobietami — największą wrażliwością reagują na bardzo egzystencjalistycznie pojęty tragizm własnego istnienia, przypominają swoim zachowaniem przysłowiowe myszy znajdujące się w pułapce. Warstwa intelektualnych i psychicz-

nych rozterek, tak bardzo przynależna młodości, została przez pisarza brutalnie wyeliminowana z powieści, w której rzeczywiście obcujemy wciąż z istotami, już zarażonymi chęcią życia, ale jeszcze nie pasją poznawania świata i ludzi.

Ale nie jest to — mimo wszystko — książka krzywdząca. Napomykając o krzywdzie, którą zdaniem niejednych, mogą wyrządzić *Rojsty*, myślę oczywiście o wielkiej sprawie Armii Krajowej, wciąż jeszcze niedostatecznie zaświadczonej i przeanalizowanej przez polską literaturę. Otóż *Rojsty* — tak przynajmniej sędzę — nie mogą być w żadnym wypadku uważane za powieść o Armii Krajowej, operują bowiem z założenia niejako na peryferiach tego obszernego problemu polityczno-społecznego, przedstawiając jego ludzkie resztki w najbardziej epigońskim znaczeniu tego określenia. Płaszczyzna poznawcza i artystyczna debiutu Konwickiego — nim przecież są *Rojsty* — odznacza się stanowczo zbyt wąskim horyzontem, aby mogła pełnić funkcję wielkiej metafory, tak nieodzownej w literackim obrazie lat 1939—45.

Postawmy zatem na zakończenie dość akademickie w tej chwili pytanie: czy *Rojsty* zasługiwały na przerwanie swojej ośmioletniej wędrówki po redaktorskich biurkach i ukazanie się drukiem? Wbrew niektórym krytykom tej książki — sędzę, że tak. Jest to przecież literacki dokument, rejestrujący jeden z aspektów krzywdy, którą wyrządzono młodzieży polskiej w niedawnych latach — krzywdy, która nieraz do dzisiaj czeka na słuszną i rzetelną rekompensatę...

Zbigniew Pędziński

Bunt Marka Hłaski *)

Istnieje już cała „filozofia debiutu“, z rozważań na ten temat można by złożyć małą książeczkę. Każdy krytyk pisząc o pierwszej książce jakiegoś autora uważa za swój obowiązek dorzucić parę mniej lub więcej mądrych uwag w tej sprawie. Nie darował sobie tego także Andrzej Kijowski w recenzji z „Pierwszego kroku w chmurach“ („Twórczość“, nr 7). Zaczyna się to tak: „Debiutant przypomina trochę przybysza, wchodzącego do salonu pełnego gości. Goście są już porządnie znudzeni...“ itd. — porównanie dość dowcipne, ale zbyt długie, by je cytować w całości. W każdym razie pokazano nam mechanizm literatury. Mechanizm poruszany jednym zasadniczym uczuciem — nudą. Może trochę — koniunkturą. Aż dziw bierze, że potem Kijowski mówi wiele ciekawych rzeczy, a nie — stwierdza tylko, jak Stanuch z „Życia Literackiego“, że Hłasce udało się: ma talent i jednocześnie wpadł na nowy a prosty pomysł mówienia prawdy.

*) Marek Hłasko „Pierwszy krok w chmurach. Opowiadania. „Czytelnik“. 1956.



Są ludzie, którzy oburzają się, że literaci tak długo kłamali. Naiwni, nie wiedzą, że zarówno kłamstwo, jak i prawda podlegają tylko prawu nudy i koniunktury.

Muszę przyznać się, że też jestem naiwny. Też naiwności nauczyli mnie romantycy, a teraz wciąż uczy Adolf Rudnicki. Naiwności, która polega na łączeniu pojęcia literatury z pojęciem odpowiedzialności. Naiwności, która umieszcza sztukę nieco wyżej, niż sprawy nudy i nieco wyżej, niż korzyści politycznego czy też uroki „estetycznego” kłamstwa.

W imię tej naiwności sądzę, że proza Hłaski wyrosła nie z nudy, lecz z buntu.

Bunt Hłaski jest najpierw buntem przeciw działającemu dotychczas systemowi wmówień społecznych. Jest czymś więcej: protestem przeciw normatywnej koncepcji świata, przeciw sferze „powinien” w imię „jest”. Zanotujmy od razu: zanegowanie wszelkich „powinności” przekreśla możliwość dyskusji nad ich treścią, samo słowo „powinien”, niezależnie od jego treściowych dopełnień, zostaje zaliczone do języka „drętwej mowy”.

Nazbyt łatwo nasuwa się tutaj etykieta „naturalizmu”. Pomaga temu jeszcze sugestia „tematu”: niektórzy, w rozmowach, stwierdzają, że „Hłasko lubuje się w brudach”. Wstrzymajmy się jednak z naklejanym etykieta.

Bohater Hłaski chce tylko żyć i kochać. Gdzieś tam tkwi sprzeczność między tymi słowami. Może tylko we „współczesności”?

„Tadeusz podniósł głowę. Miażdżył trawę obcasem. I teraz dopiero jasno zrozumiał, że jego miłość, jego pragnienia i najświętsze słowa przepadają nie przez zdradę, rozłąkę czy śmierć, lecz przez te wszystkie małe, uprzykrzone i nędzne sprawy, o których mówił tamten człowiek” (str. 157).

Mówił o hotelach robotniczych, o sobotnim picu wódki, o tłoku w tramwajach, o kolejkach po masło.

A jednak nie chodzi tylko o sprawy małe. Opowiadania Hłaski zbudowane są na kontraście, na bolesnym zderzeniu marzenia (ale nie „marzenia” z estetyki „realizmu socjalistycznego”, marzenia, dopuszczonego w ramach „romantyzmu rewolucyjnego”, marzenia, które było tylko ozdobnym nazwaniem, wplecionym w martwy schemat) i rzeczywistości, złu-

dzenia i prawdy. Najwyraźniej widać to w „Ślicznej dziewczynie”, ale konflikt ten obecny jest także i w „Najświętszych słowach naszego życia”, w „Pijanym o dwunastej w południe”, w „Pierwszym kroku w chmurach”, jakoś bardziej „wewnętrznie” przewija się chyba przez wszystkie opowiadania. Konflikt ten, na pewno przeciwieństwo w literaturze nie nowy, u Hłaski na nowo, dramatycznie ożywa. Może dlatego, że pokazany jest w prawdziwym wymiarze naszego czasu. Nawet cynizm, którym Hłasko stara się zamaskować tragizm pokazanego świata, jest także znakiem naszego czasu. Cynizm — jako odruch instynktu samoobrony. Odruch jednak nieudany. Cyniczny uśmiech pozostaje pozorem.

Pokazano nam świat pełen zła, świat pijaków, chuliganów i prostytutek. Przerażony czytelnik mógłby zapytać: „Więc co w takim razie?” „Gówno”, odpowiedziałby zapewne bohater Hłaski. Ale nie wierzy mi. W każdym razie nie wierzy, że taka jest ostateczna odpowiedź autora „Pierwszego kroku w chmurach”. Jest coś, co wyrasta ponad tamten świat. Pokazano nam także wielką doniosłość marzenia — choćby bez wiary w jego spełnienie. Złudzenie, nawet świadome, ocala moralnie człowieka.

Wydaje się, że tutaj odstawiamy tę drugą płaszczyznę buntu Hłaski. Jest to bunt bez nadziei może, nawet bez określonego kierunku. Ale już sam sprzeciw wobec zastanego świata ma walor humanistyczny, nie pozwala mówić o „skrajnym pesymizmie”. Jakaś utajona niezgoda ze złem i wiara, mimo wszystko, w czystość (nie bójmy się tego słowa) człowieka jest podskórnym rytmem „Pierwszego kroku w chmurach”.

Niewiele obchodzą mnie wszystkie „amerykańskie wpływy”, o których głośno. Jeżeli proza Hłaski jakoś jest „podobna” do prozy Hemingway’a czy Steinbecka, to widocznie musiało tak być. Widocznie treści, które chciał wyrazić, gdzieś tam stykały się z tym, co mieli do powiedzenia tamci. Co nie jest czymś dziwnym — żyjemy przecież w tej samej epoce. W każdym razie nie można z tym przesadzać: Hłasko na pewno powiedział także wiele rzeczy, o których tamci nie mogli nawet wiedzieć. Dzięki temu u Hłaski, mimo że jest to tylko (?) debiut, lepiej możemy uczyć się „nowoczesności”.

Janusz Danielak

Przegląd wydawnictw

JULIAN STRYJKOWSKI — „GŁOSY
W CIEMNOŚCI”¹⁾

„Głosy w ciemności” J. Strykowskiego przez dziesięć lat tułały się po szufladach redakcyjnych, zanim wreszcie ukazały się w druku. Działo to się wtedy, kiedy naszą kulturą komenderowały miernoty, dyktujące pisarzowi jego dzieło.

Klimat powieści przypomina „Meira Ezofowicza” Orzeszkowej i niektóre opowiadania Aleksandra

Świętochowskiego. Powieść Strykowskiego jest kapitalnym i niezmiernie plastycznym obrazem życia gromady żydowskiej, zamieszkującej głuche miasteczko galicyjskie. Jest to obraz wyjątkowy w swej wstrząsającej prawdzie. Akcja rozgrywa się tuż przed wybuchem wojny światowej, kiedy to nad osadą wisi groza zbliżającego się pogromu. Z drapieżnym talentem realisty rysuje autor niemal wszystkie swoje postacie, a zwłaszcza przedstawicieli starego, ginącego świata: kupca Scharie i świętobliwego rabina Tojwie, fanatyka i bezwzględniego wyznawcę Tory. Do

¹⁾ „Czytelnik”, Warszawa, 1956.

najpiękniejszych i najbardziej udanych postaci „Głosów w ciemności” należy zaliczyć małego Aronka, dziecko chowane w ponurej atmosferze dociekań religijnych. Obdarzony ogromną subtelnnością i zadziwiającą świeżością uczuć wybijają się na czoło ludzi występujących w „Głosach w ciemności”.

Niewiele dzieł powstałych w ciągu ostatniego dziesięciolecia może się wykazać taką dojrzałością literacką i taką oryginalnością ujęcia tematu. Walka rodzin i walka światów pokazana jest w „Głosach w ciemności” z rzetelnym talentem.

JAN PARANDOWSKI — „OPOWIADANIA”²⁾

Nakładem „Naszej Księgarni” ukazał się tom opowiadań Jana Parandowskiego, obejmujący drobne utwory z czasów starożytnej Hellady, Rzymu i Renesansu. Każdy z tych drobiazgów zachwyca lekkością i niezwykłym kunsztem. Na czele „Opowiadań” znajdujemy „Egeę”, stanowiącą coś w rodzaju wstępu do książki. Jest to historia badań archeologicznych nad kulturą kretańska.

Jan Parandowski pokazał, że można pisać o rzeczach na pozór skamieniałych stylem wręcz porywającym. Każde zdanie jest skończonym w sobie obrazem, skrótem, wyrażającym bogatą, historyczną treść.

Należy tylko żałować, że książka została wydana tak niedbale. Ilustracje Andrzeja Jurkiewicza są dobre.



ANATÓL FRANCE — „WYSPA PINGWINÓW”³⁾

Widząc całą karykaturalność rządów mieszczaństwa i nędzę proletariatu, Anatol France postanowił zakpić sobie ze świata skorumpowanych ministrów, panów w wytwornych cylindrach, zajętych mitostkami, intrygą i robieniem błyskotliwych karier. Zamiar ten urzeczywistnił w satyrycznej „Wyspie pingwinów”.

Historia narodu Pingwinów od czasów najdawniejszych aż po współczesne, historia pełna powikłań, a zakończona romansiem premiera Pawła Visire z piękną żoną ministra Ewelina Ceres, jest pełna przeżytych aluzji do stosunków panujących we Francji.

²⁾ „Nasza Księgarnia”, Warszawa, 1956.

³⁾ „Czytelnik”, Warszawa, 1956.

Cała książka jest zabarwiona gorzką ironią. Autor ze zręcznością urodzonego dyplomaty rozprawia się z resztkami obrońców Okopów św. Trójcy, z burżuazją i klerem, a czyni to w tak ujmującej formie, że zdobywa sobie nawet najbardziej ostrożnego czytelnika. Nie wiadomo, co właściwie podziwiać w „Wyspie pingwinów”: mistrzowski styl, bujną, nieokiełzaną fantazję czy też świetną kompozycję powieści. Poetyckie legendy pomieszał A. France z kapitalnymi stronami o zacięciu ironicznie groteskowym.

Wydanie książki bardzo staranne. Okładka i karta tytułowa J. Miklaszewskiego bez zarzutu. Papier trzećiej klasy.



ILJIN I SEGAL — „BORODIN” TŁUM. ALICJA STERN⁴⁾

Borodin, znakomity autor „Księcia Igora”, to talent prawdziwie uniwersalny. Był nie tylko świetnym, niezrównanym kompozytorem, lecz i znakomitym naukowcem, któremu chemia ma wiele do zawdzięczenia. Potęga jego talentu muzycznego przejawia się w równej mierze w operze i w symfonii. Jest nadto założycielem, opiekunem i rzecznikiem kursów medycznych dla kobiet, jest podporą i przyjacielem uczącej się młodzieży. Warto wspomnieć, że nie stroni również od pióra, pisząc teksty do swych pieśni, świetne artykuły czy eseje, a o listach jego Riepin wyraża się z najwyższym zachwytem. Autorzy książki pod tytułem „Borodin” w prosty, żywy i bezpośredni sposób starali się zbliżyć twórcę do czytelnika, snując opowieść o jego niezwyklej, pełnej genialnych cech sztuce i interesującym życiu.

JADWIGA SIEKIEŃSKA — „LUDZIE I MIASTA”⁵⁾

Niewielka lecz pięknie wydana książka Jadwigi Siekierskiej pt. „Ludzie i miasta” to zbiór migawkowych wrażeń z wycieczki do Chin Ludowych. Autorka zaznacza na wstępie, że za mało miała czasu, by swoje obserwacje pogłębić, ale i to, co widziała, a następnie przekazała nam w lapidarnej formie, warte jest przeczytania.

Autorka postawiła sobie przede wszystkim za cel pokazanie więzi między dzisiejszym budownictwem

⁴⁾ „Iskry”, Warszawa, 1956.

⁵⁾ „Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza”, Warszawa, 1956.

a wczorajsza rewolucyjną walką oraz tych „styków“ historii ze współczesnością, które zaobserwowała w zwiedzanych miastach i wsiach, w nowopowstałych gmachach i zwyczajach. J. Siedkierska kreśli sylwetki zasłużonych rewolucjonistów i bohaterów. W rozdziale końcowym pt. „Naród o złotych rękach“ autorka zajmuje się sztuką i jej rozkwitem w Chi-

nach Ludowych. Wiele ciekawych uwag wypowiada J. Siedkierska na temat rzemiosła artystycznego, chińskiej opery narodowej, plastyki i teatru.

Książkę pt. „Ludzie i miasta“ zdobią piękne ilustracje Aleksandra Kobzdeja. Kobzdej zaprojektował też okładkę i pełną subtelnosci kartę tytułową.

Wycinki z prasy kulturalnej

Uwaga! Parlamentaryzm!

Zbliżają się wybory i sprawa parlamentaryzmu prawdziwie ludowego staje się coraz to bardziej aktualna. Pisał o tym Ehrlich (*Nowa Kultura* nr 336), potem usłyszeliśmy na ten temat obszerne i zasadnicze wypowiedzi premiera Cyrankiewicza. Na tle uogólnień i frazesów te dwa głosy są szczególnie wymowne, bo dają jasną koncepcję parlamentaryzmu jakiego nam trzeba. Tak! Trzeba nam sejmu z głosem decydującym, nadrzędnym w stosunku do ciał wykonawczych i sędowniczych, trzeba nam posłów bez wysokich „rekolekcyjnych“ specjalistów, polityków, a nie trzeba nam „palm dekoracyjnych“ ani oportunistów, ani lakierów, ani krochmalu uroczystego, bo sejm to nie siedziba „akademii okolicznościowych“. Tak! Bez najmniejszych wątpliwości! — ale jedno jest niepokojące: „w prasie nie rozwinęła się jeszcze szczerza dyskusja na temat przyszłego sejmu“ (Podkreśla to Ehrlich), a niektóre głosy budzą nawet zastrzeżenia!

Tu jest sedno sprawy. Zważmy: do niedawna sejm był dla przeciętnego obywatela pojęciem nie z tego świata, jakąś abstrakcją zamkniętą pod kłosem parlamentu w stolicy przy ul. Wiejskiej. Nad powszechnym uświadamianiem obywateli w dziedzinie parlamentaryzmu nie pracowaliśmy. Russo, Monteskiusz, legislatura burżuazyjna, parlamentaryzm ludowy to dla wielu obywateli abrakadabra uczenie brzmiąca, a dla zuchwałych „intelektualistów“ spod znaku wulgaryzmu — nowa pokusa do pustej gadaniny. A przecież: jeśli obywatel ma być dopuszczony do współuczestnictwa poprzez sejm, to trzeba go do tego przygotować.

Działacze Frontu Narodowego, instruktorzy i referenci ideologiczni, propagatorzy wiedzy powszechnej, redaktorzy czasopism popularnych mają więc pole do popisu. Wybory tuż! A pamiętajmy, że dosyć już mieliśmy balonów na sznurkach propagandy.

Przyboś w ofensywie

Antyschematyści w dalszym ciągu rozprawiają się z pogrobowcami literatury schematycznej. Mandalian — zdaniem Juliana Przybosia (*Nowa Kultura* nr 336) — mimo trzęsienia ziemi nie otrząsnął się jeszcze ze święconej wody dawnej frazeologii — a „zoficjalnieni terroretycy“ w dalszym ciągu broją, bawiąc się w „dretwą mowę... i szczujność“ (Ileż to żywych i sugestywnych nowotworów przynoszą nam antyschematyści!) Narzeka Przyboś, ale cieszą się „pracowni-

cy zakładu odpadków użytkowych... i młyny przemysłowe mają żer z zadrutowanego papieru“.

Najważniejsze jednak jest to, że antyschematyści zaczynają argumentować żywymi konkretami, prezentując swoich pisarzy. Coraz to słyszemy: Hłasko! Białoszewski! Owszem, nie jestem pesymistą. Hłascie zarzucają wprawdzie niektórzy hemingwayizm, ale że swojski on, to pewna, poznać go choćby po tym naszym kochanym prapolskim smętku. Co do Białoszewskiego... chętnie poczekam, może i do mnie przemówią kiedy te wiersze:

Wieczorem
wracam
szywną
przeźroczyścią,
wieczorem
wracam
lunetą,
podejrzewam
sztuczne zimne dziecko gwiazd
o siebie,
chrzeszcza mi
szklane rurki oddechu
od połączenia z
pre-stworzami —
stworzonego
przetworzonego
schowaj mnie
przed obcymi matkami,
moja matka od nóg,
moja gwiazdo.

Czy to ma być owo „nowe“, które idzie?

Synkretyczne wariacje

Celem rozwiania wątpliwości co do wyobraźni poetki Białoszewskiej przeczytałem uważnie artykuł K. Wyki (*Życie Literackie* Nr 241) pt. „Na odpust poezji“. Najdłużej zastanawiałem się nad następującym passusem:

Wyobraźnia poetki Białoszewskiej jest niewątpliwie wyobraźnią bardzo malarską. Nie w sensie hojnej kolorystyki, malowniczości i zdobnictwa. Jest nią w sensie plastycznej słuszności nawet w wypadku nieoczekiwanych i najbardziej paradoksalnych skojarzeń wizualnych, które, nawiasem mówiąc, nie służą Białoszewskiemu, by malować: służą sugestii określonych wniosków intelektualno-filozoficznych oraz bodaj jeszcze ciekawszych u tego poety wniosków o charakterze obyczajowo-cywilizacyjnym.

I doszedłem do przekonania, że w zasadzie można zgodzić się na to z tym jednakże małym zastrzeżeniem, że skojarzenia wizualne służą u Białoszewskiej także i sugestii nieokreślonych wniosków intelek-

tualno-filozoficznych, a to tym bardziej, że charakter tych wniosków (zgodnie z dalszym ciągiem artykułu) w sposób paradoksalny jest synkretyczny w znaczeniu obyczajowo-cywilizacyjnym, oraz że chodzi tu przede wszystkim o wnioski kartezjańskie, o nawroty futurystyczne, kubistyczne, dadaistyczne, nominalistyczne i o wariacje egzystencjalistyczne. O właśnie! wariacje!

O biblijnych cudotwórcach

W „Przeglądzie Kulturalnym“ (Nr 209) przeczytałem „Uwagi o polityce kulturalnej“, w których autorzy dokonali szeregu odkryć m. in., że nie można mówić o głębokim upowszechnieniu kultury bez żywych ośrodków myśli twórczej, że dodatki gazet prowincjonalnych nie mogły dotąd podjąć zadaniom, że centralizacja, że komenderowanie, że osiągnięcia, ale... że Bim-Bom, ale... że *Po prostu*, ale... itp. a na końcu była taka retoryka:

Jesteśmy za koncepcją ostrej dyskusji ideowej w sztuce, szlachetnej rywalizacji sztuki i myśli, jesteśmy za bezwzględna walką z miernotą podszywającą się pod frazes rewolucyjny, jesteśmy za sztuką najbardziej zaangażowaną politycznie, humanistyczną w treści i nowoczesną w formie. Jesteśmy za tym, żeby w walce tej przewodził komuniści.

Potem przeczytałem w kilku innych gazetach podobne wersety i pozwolę sobie postawić pytanie: Kiedy wreszcie skończą się te tysiączne inspiracje, rady, wskazania, nawoływania? Ogarnęła nas jakaś obsesja, wpadliśmy w intelektualną egzaltację.

Obiecuję sobie, że przestanę czytać gazety literackie, bo od tych inspiracji zaczynam już miewać wizje, jakieś biblijne objawienia! Proszę sobie to wyobrazić. Stoją ludzie sztuki niby postaci ulepione z gliny a nad nimi fruują z szumem jacyś bogowie, posyknają, pokrzykują, chuchają i dmuchają, aby w nich tchnąć ducha.

Seweryn Śmiałowski

Co daje lubelskiej kulturze „Kultura i Życie“

Problemy kultury, w miarę pogłębiania się przeistoczeń społecznych pod wpływem czynników rewolucyjnych, coraz silniej wysuwają się na czoło. Stają się punktem pierwszym naszych porachunków z rzeczywistością, z całokształtem zjawisk normujących nasze życie zbiorowe. W rozstrzygnięciu tych problemów, a przede wszystkim w należytych naświetleniu ich, poważny głos mają nasze wydawnictwa o charakterze społeczno-kulturalnym. Wydawnictw tych jest ciągle za mało. O ile w stolicy koncentruje się ich większość, o tyle prowincja ma do zanotowania duże niedobory, a nawet wręcz wielkie luki, trudne do zapełnienia. Dlatego też z tym większą wagą trzeba przywrócić się tym które wychodzą i istnieją.

Jaka jest ich działalność, jaki program, czego chcą, co osiągają?

Pytania te można mnożyć. Jest ich wiele.

W Lublinie mamy dwa tego rodzaju wydawnictwa — „Kamień“, miesięcznik literacki o charakterze społeczno-kulturalnym i „Kulturę i Życie“ — tygodniowy dodatek „Sztandaru Ludu“. O ile „Kamień“ cieszy się zainteresowaniem opinii publicznej, dowodem czego są recenzje w pismach codziennych, periodyków, radia, omawiające dość szczegółowo każdy numer i wysuwające postulaty pod jej adresem, o tyle „Kulturę i Życie“ otacza dość niezrozumiały krąg milczenia. Ani radio, ani „Życie Lubelskie“, ani nasza rodzima „Kamień“ dodatku tego nie recenzowały, nie omawiały jego osiągnięć i niedociągnięć. Utarło się, że „Kultury i Życia“ nie recenzuje się. No, bo do faktów zainteresowania się nie można zaliczyć krótkiej notatki na ostatniej stronie „Przekroju“, którą kiedyś pomieszczono z racji jakiegoś lapsusu...

Tymczasem na „Kulturę i Życie“ spojrzeć trzeba poważnie. Mimo że jest to tylko dwukolumnowy dodatek, jednak ukazuje się on regularnie (wyjątki są nieznaczne) łącznie z pismem codziennym, mającym duży nakład i docierającym do najmniejszych zakątków naszego województwa. Ze względu na swój popularny charakter „Kultura i Życie“ może łatwo przeniąkać do mas i spełniać poważną rolę propagatora kultury. Dlatego nie jest obojętną sprawą, jak ona jest redagowana, jakie materiały zamieszcza, jakie problemy naświetla, co pomija milczeniem lub czego nie dostrzega i dlaczego?!

Z tym nastawieniem wziąłem rocznik bieżący, a więc wszystkie numery od stycznia do połowy września br., aby je dokładnie przejrzeć i należyście ocenić. Już na początku doznałem pewnego rozczarowania. Numer noworoczny „Sztandaru Ludu“, który ukazał się w sobotę 31 grudnia, dodatku „Kultura i Życie“ nie zawierał. Widocznie redakcja była zajęta czym innym i sprawy kulturalne potraktowała jako balast, którego można się pozbyć. A szkoda. Należało go wydać, a na treść jego powinny się złożyć artykuły bilansujące całoroczną działalność na odcinku kulturalnym naszego regionu. Redakcja powinna była zestawić swe aktywa i pasywa i pokazać czytelnikom wynik tego zestawienia.

No, pomyślałem, może wobec tego w następnym numerze znajdę to, czego nie ma w sylwestrowym. Ale w Nr 1 (178) „Kultury i Życia“ znalazłem artykuł o Filharmonii Lubelskiej, przedruk z biuletynu Agencji Robotniczej artykułu pt. „Dziś i jutro kosmonautyki“, tłumaczenia utworów Haszka i Czechowa itp.

A więc pisano o tematach, które były, jak to się mówi, pod ręką, tu w Lublinie. A tymczasem, gdyby trzeba wyliczyć szczegółowo, można by lekko wymienić setkę tematów związanych z zagadnieniem kultury, aktualnych w naszym rejonie. Np. sprawa teatru. Recenzje z przedstawień lubelskich to mało. Dyskusja o repertuarze to też niewiele. Ale problem teatru dla dwumilionowej rzeszy mieszkańców naszego województwa to sprawa poważna. Powołanie do życia stałych teatrów rejonowych w Zamościu, Chełmie, Puławach czy Białej Podlaskiej, mogących obsługiwać teren dwóch czy trzech powiatów, to sprawa, nad którą warto by podyskutować. To samo dotyczy muzyki, plastyki, literatury.

Organizowanie wystaw, które by docierały w głąb województwa — koncertów, które mogłyby słuchać chłop na wsi itp.

No, a życie kulturalne młodzieży w zapadłych kątach.

A problem świetlic, ale traktowany nie od strony zjazdów w Lublinie czy wywiadów w Wydziałach Kultury, ale tych w terenie, w osadach, wsiach itd.

Pismo takie jak „Kamena“, wychodząc raz na miesiąc, mające charakter bardziej elitarny, musi generalizować, musi bardziej „sztabowo“ zastanawiać się nad problemami kultury, ale „Kultura i Życie“ powinna być wydawnictwem szturmowym, sięgającym głęboko w teren i żywo reagującym na wszystkie, nawet drobne przejawy życia społeczno-kulturalnego.

Tymczasem szczegółowe przejście wszystkich numerów wydanych w bieżącym 1956 roku wskazuje, że mimo krytycznej postawy wobec samej siebie praca redakcji „Kultury i Życia“ niewiele zmieniła się. Pismo nadal jest mało ofensywne, o wąskim zakresie tematyki, pismo, któremu wiele zagadnień ucieka, jak to mało elegancko się mówi — sprzed nosa. Źródło tego zjawiska tkwi przede wszystkim w metodzie pracy. Kierownictwo „Kultury i Życia“ hołduje zasadzie zapychania numeru dużymi, mówiąc językiem dziennikarskim, „kobyłami“. Zespół autorów kobyłowych mało się zmienia: Knorr, Matyaszevska, Korneluk,

Welna, Grzybowski, lub Grzybowski, Welna, Korneluk, Matyaszevska, Knorr. Te kilka osób piszą na przemian na stale powtarzające się tematy, czasami podpisują swe artykuły pełnym imieniem i nazwiskiem, a czasem tylko inicjałami itp. Stanowią one brygadę zawodową „Kultury i Życia“, która wypełnia numery przede wszystkim artykułami problemowymi, dyskusyjnymi, recenzyjnymi. Ponieważ piszą na zmianę poruszając różne sprawy, siłą rzeczy wkłada się do ich prac dziennikarski dyletantyzm, mimo że sprawy poruszane są czasami ciekawe. A więc brak liczniejszego aktywno piszących zawęża i tematykę, i wartość opracowań. Inne nazwiska, które się rzadko ukazują na łamach „Kultury i Życia“, nie wiele zmieniają w tym stanie rzeczy. Dawniej kierownictwo „Kultury i Życia“ organizowało narady aktywiistów, przedstawicieli różnych instytucji kulturalnych, usiłując wciągnąć do swych prac szersze grono ludzi piszących. Niestety, niewłaściwy stosunek do otrzymywanych materiałów, lekceważenie praw autorskich, nieprzemysłane adiustacje itp. wiele osób odstraszyło od współpracy. A sam zespół redakcyjny pracujący na zasadzie odruchów i wyprzedzający materiały, które wpadną w ręce przypadkowo, ciekawego charakteru pismu przez siebie redagowanemu nie nada.

Charakterystycznym np. faktem jest, że podobnie jak na Nowy Rok, tak i w rocznicę Wyzwolenia, tj. 22 lipca 1956 r., dodatek „Kultury i Życia“ nie ukazał się. A właśnie w tym czasie powinien ukazać się numer powiększony, wypełniony treścią i problemową, i bilansującą itd. Wszystko aż się prosiło o taki numer. A tymczasem nic.

Ta pustka jest zmienna, bo mówi wyraźnie o braku programowości w pracy kierownictwa i zespołu redakcyjnego „Kultury i Życia“. W związku z tym rodzi się zagadnienie, czy takie wydawnictwo jest potrzebne, czy nie jest ono przypadkowo przysłowiowym kwiatkiem u kożucha. Rzecz prosta, że jest potrzebne, bo może odegrać dużą rolę, ale by to się stało, trzeba zmienić dorywczy styl pracy na programowy i konstruktywny.

Antoni Waligóra

WOLNA TRYBUNA

Przeciw fałszowaniu w ogóle

W „Sztandarze Ludu“ z dnia 1—2 września br. znajdujemy artykuł czołowej publicystki tegoż pisma pod sensacyjnym tytułem „Przeciw fałszowaniu rewolucji“.

Publicystka owa informuje:

...od tylu głupstw, ile zawiera wspomniany artykuł („Rewolucja niesie zagładę inteligencji“ — Kamena, nr 7—8), każda głowa może pęknąć!

Chcąc uniknąć katastrofy, Zbigniew Stepek przelał głupstwa na papier. Głupstwa na papierze zamknięte w biurku — to jest, powiedźmy

sobie otwarcie, oczyszczenie umysłu z niepotrzebnego balastu. Ale głupstwa opublikowane w poważnym piśmie... o, przepraszam! — to już zupełnie coś innego. Takie głupstwa zaczynają być niebezpieczne. Należy je unieszkodliwić czyli... skompromitować

Powiedział ktoś, że krytyka, jeśli jest słuszna, zawsze czegoś nauczy. Na pewno wszyscy się z tym zgadzają. Trudno jednak dyskutować w tonie przyjętym przez publicystkę „Sztandaru Ludu“.

Na temat ujęcia spraw merytorycznych dyskutować również nie będę. Radzę tylko uprzejmie, by publicystka „Sztandaru Ludu” zapoznała się z dwoma artykułami, których fragmenty udostępniam:

... wydaje się, że historia wyprowadziła nas już z okresu wielkich polityków, których wielkość oznaczała rozmiar klęsk i zbrodni. Próba degradacji inteligencji, a co za tym idzie wszelkiej myśli racjonalistycznej, przeczy samej zasadzie budowy socjalizmu.

...tamowanie krytyki toruje drogę reakcji i sprzyja wszelkiego rodzaju kultom, dyktatorom i jideizmom. Humanistyczna wiara w czio-wieka nie może się ograniczać do odświętnej, nieobowiązującej deklaracji. Czas obecny naka-żuje budowniczym naszego socjalizmu szukać prawdziwych, sojuszników w szeregach nowej, postępowej inteligencji polskiej.

(Antoni Słonimski — Obroan inteligenta, „Świat”, Nr 36 4.IX.1956)

...Pokutujące w naszym kraju[...] pojęcie o podrzędnej, w stosunku do innych warstw społecznych, roli inteligencji jest pojęciem teo-retycznie przestarzałym, a praktycznie krzywdzącym inteligencję.[...] Nie ulega przecież wątpiwości, że wraz z potężnym rozwojem — właściwie skokiem naprzód — nauki, techniki, mechanizacji, kultury — rola, znaczenie i wpływ inteligencji na rozwój nie tylko życia gospodar-

czego, ale politycznego i społecznego będą stale wzrastać. I to zarówno w krajach obozu socja-listycznego, jak i w państwach kapitalistycznych.

Zaryzykuję nawet „heretyckie” stwierdzenie: moim zdaniem rola i funkcja społeczna inteli-gencji w sensie historycznym będzie stale wzra-stać i stopniowo zbliżać się do roli historyczno-społecznej odgrywanej przez proletariat. Jest to wprawdzie jeszcze problem przyszłości, niemniej jednak narastający.[...] Postulujemy więc „nowe spojrzenie” na inteligencję, odrzucenie teoryjek o „przyrodzonej” reakcyjności inteligencji i stworzenie wokół niej dobrego klimatu pełne-go zaufania, to znaczy uznanie roli inteligencji jako pełnoprawnego sojusznika klasy robotni-czej i chłopstwa.

(Wywiad z ambasadorem Janem Karolem Wende'm „Ekspress Wieczorny”, 4.IX.1956).

Proszę przypomnieć datę mojego artykułu...

Naprawdę nie wiem, czy spotkałaby mnie taka ulewa pseudokrytycznych wymyślań, gdybym po-wtórzył zasadniczą myśl za Słonimskim czy Wende'm. Lublin widocznie skazany jest na nieurodzaj... Pamiętamy dobrze, iż wkrótce po XX Zjeździe KPZR, kiedy w centrum gorzało od dyskusyj, „Sztandar Lu-du” ostrzegał: nie wychylać się. A wtedy w Lublinie nikt nawet nie myślał o „wychylaniu się”.

Jestem głęboko przekonany, że takim sposobem nie osiągniemy poprawy naszego życia.

Zbigniew Stepek



ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. P.

Stan. Ant. w Parczewie. Satyra bez wartości. Wiersze „Polonusa” o łąkach i kwiatach — słabe.

Stan. Kl. w Miłkowie. Nadesłane wiersze nie nada-ją się do druku. List prawdopodobnie zamieścimy.

Eug. Wach. w Lesznie. Z nadesłanych wierszy za-trzymujemy „Nie deptać”. Wykorzystamy, jeśli bę-dzie miejsce.

„Kubuś” w Lublinie. W nadesłanych utworach obok plew są ziarenka poezji. Warto by skontaktować się z miejscowym Kołem Młodych.

Lech. Jes. w Józefowie. Z ostatnich wierszy naj-lepszy „Po burzy”, ale jeszcze nie dla nas. Nie trzeba się jednak zniechęcać i radzimy pracować dalej.

A. J. Mierz. w Koszalinie. „Strofy bezradne” zawie-rają ciekawe momenty (np. wykorzystanie w wierszu cytaty z Majakowskiego). Utwór psuje młodopolskie słownictwo: pomroczny, szelestnie. Ciekawi byłibyśmy próbek nowszych wierszy.

Eug. K. Stesz. w Stawie. Z pięciu ostatnich próbek stosunkowo najlepsza „Noc”. Wiersz do matki skopio-wany z podobnego wiersza innego autora. „Nie trać-cie równowagi” i piszcie dalej.

J. Łab. w Rykach. Zatrzymujemy do ewentualnego wykorzystania „Zagubione usta” i „Codziennie”.

Niektórym autorom nadsyłanych wierszy. Ludzie, nie kompromitujcie się i zagłądajcie do słownika orto-graficznego. Bo to wstyd doprawdy pisać: „spójż”, „choryzont”, „spruchniały”, „jak by”, „odnaleść” itd.

.....Odmień, odmień nam słowa na wargach,
naucz śpiewać płomienniej i prościej,
niech nas miłość ogromna potarga,
więcej bólu i więcej radości.

W. Broniewski

WOJEWODZKA KOMISJA KONKURSOWA

organizuje

IV

OGÓLNOPOLSKI
KONKURS
RECYTATORÓW

Konkurs obejmuje trzy grupy repertuarowe
prozę, poezję, satyrę.

Recytatorzy uczestniczący w konkursie obowiązani są przygotować do wykonania po jednym utworze z dwu dowolnych grup repertuarowych.

Wojewódzka Komisja Konkursowa ustala nagrody od 200 do 1000 zł oraz szereg nagród rzeczowych i wyróżnień.

Redakcja „Kamenu” za najlepsze recytacje utworów literatów lubelskich, ze szczególnym uwzględnieniem twórczości Józefa Czechowicza, przewiduje nagrody od 200 do 500 zł.

Termin zgłoszeń upływa z dniem 5 grudnia

Zgłoszenia przyjmują i udzielają informacji Wydziały i Oddziały Kultury Prezydów Rad Narodowych.

PRENUMERATA „KAMENY”

Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmują urzędy pocztowe i listonosze Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu”, zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu”.

Prenumerata przyjmowana jest do 10-go dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Cena prenumeraty wynosi:

kwart. zł 15.—, półr. zł 30.—, roczna zł 60.—.